



ROK LIX

PRZEGŁĄD TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIECY

№ 28

WARSZAWA, 10 LIPCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: W kuźni lepszego jutra—Z. Z. K. Kongres feministyczny w Paryżu—Dr. Marja Czapska. W miejskich szkołach rękodziel—C. r. Wiersze: „Za miastem”—Lucjan André. Złote róże—Z. Reutt-Witkowska. Czekanie—H. Boguszewska. Panna Kamilia (c. d.)—Cecylja Walewska. Przymierze z dzieckiem—Marja Kuncewiczowa. Córka Boga (c. d.)—Z. Zawiszana. Tajniki świata zwierzęcego—Janina Maszewska-Knoppe. Kobieta w świetle i w domu—Z. B. Z książek—S. Z teatrów—Z. P. Dział praktyczny: Mody i roboty. Kapelusze z rajji. Na wieś—Well. Listy—W. N...cka. Polska współczesna. Jak uszyć samej pokrowce na meble. Maszynka spirytusowa—Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie—Fani Elżbieta. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię”—Concha Espina (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów.

Z KUŹNI LEPSZEGO JUTRA



ak każdy prawdziwie doniosły prąd w dziedzinie wychowania, ma harcerstwo niewątpliwie wielkie znaczenie ogólnie - narodowe. Aby to żywo odczuć, trzeba się z nim zetknąć bezpośrednio, bo przecie nie w programach tkwi idea, tylko w ludziach...

Ludzi tych, w życiu ich codziennym, w czystości i sile dusz, w prostocie ich ciężkiej, a bezinteresownej pracy, poznałam w ciągu 10-u dni pobytu w „Cisowym Dworze”.

„Cisowy Dworek”—to taka jedyna w swoim rodzaju pionierska placówka, w uroczym zakątku górskim, nad Dunajcem, tuż koło czeskiej granicy, pomiędzy pasmami Gorców i Pienin. Ten dom harcerski, zbudowany przed rokiem, przy własnoręcznym udziale młodzieży, to punkt oparcia dla wszelkich kursów instruktorskich, obozów ćwiczebnych, wycieczek, a jednocześnie początek szkoły dla dzieci. To ukochane, wciąż rozrastające się dzieło wdowy po pierwszym apostołe polskiego skautingu, prawdziwie dzielnej, niezmordowanej kobiety, Olgi Małkowskiej.

Wszystko jest tam w stanie ciągłego radosnego tworzenia, wszystko wre życiem. Wszyscy, a raczej wszystkie, pracują po mrówczemu, każda w swoim wyznaczonym dziale, aby stworzyć nowy, doskonalszy typ zbiorowości, typ gospodarstwa, typ szkoły. Dókuczliwe, choć drobne nieraz przeszkody, spotykane na tych nieutartych szlakach, nie zniechęcają

nikogo, wiążąc mocniej jeszcze tę grupkę harcerek solidarnością wspólnego zadania.

Zdumiewa przedewszystkiem ogromna wydajność pracy tych młodych kobiet, przeważnie dziewcząt zaledwo dorosłych, pod kierunkiem jednej mocnej, wytrawnej ręki. Oto mały przykład: „drużyna” Marysia K. gotuje sama, bez żadnej pomocy, na 6-10 osób, utrzymuje w doskonałym porządku kuchnię i wszelkie naczynia, nosi potrawy na piętro (bo windy brak jeszcze), nadto wydają stale 2 krowy, żywi 2 wieprze, psy i gromadkę drobiu. Przy tem wszystkim jest wesoła, wymyśla coraz lepsze leguminki, znajduje czasem chwilę na zabawy z dziećmi, a nawet na wyprawę o 4 klm. do Czorsztyna, po pocztę... W tym stylu dzieje się wszystko w „Cisowym Dworze”, i dlatego właśnie dworek ten istnieje, pomimo braku funduszy, oparty na zasadzie bohaterkiej niemal „samowystarczalności”. Harcerki czyszczą same podłogi, trzepią chodniki, palą w piecach, przywożą sobie prowianty z Nowego Targu i zajmują się wogóle wszystkim, prócz ogrodu i większego prania.

A czystość panuje wzorowa w tych kilkunastu pokojach i długich korytarzach, przy całej spartańskiej prostocie nie brak postępowych urządzeń higienicznych. O zdrowie dba się tu na sposób angielski: codzienna kąpiel, dużo ruchu na powietrzu, gimnastyka, nieodzowna wentylacja w nocy, nawet w największe mrozy. Skutki tego systemu można sprawdzić naocznie na rumianych i pełnych obli-

czach wszystkich mieszkańców dworku; nawet wątle istoty hartują się tu dziwnie szybko, nabierają świetnego apetytu, siły i wytrzymałości.

Właściwa szkoła, dla dzieci od 6—12 lat, powstanie dopiero w jesieni. Wedle naszych pojęć, można ją raczej nazwać zakładem wychowania fizyczno-moralnego, nie wyobrażam sobie bowiem, jak przystosuje ona dydaktyczne zasady angielskie do wymagań naszych władz szkolnych. Bardzo być może, że tamte są lepsze, że należałoby wedle nich zreformować nieco nasze programy początkowego nauczania, ale jak w obecnych warunkach uda się przygotować dziecko do trzeciej, a choćby pierwszej klasy gimnazjalnej, nie ucząc go prawie wcale, a tylko ogólnie rozwijając umysł?

Życzymy serdecznie nowej szkole harcerskiej, aby jak najlepiej pogodziła te sprzeczności i pokazała naszym powagom pedagogicznym, że nie trzeba dziecka przeciążać, aby je wszechstronnie przygotować do życia i do dalszych studiów!

Pani Małkowska wie chyba, czego chce: całe 5 lat praktykowała w szkołach angielskich, aby przenieść z nich do Polski to, co jej się wydało dobrem. A jak umie oddziaływać na otoczenie, to widać już jasno z tego stosunku, jaki się samorzutnie wytworzył pomiędzy harcerkami, a ich ukochaną „gaździną”. Autorytet jej jest ogromnie żywy, ogarnia i reguluje wszystkie dziedziny życia „Cisowego Dworku”, a nie mrozi i nie przytłacza. Nikt się nie dziwi, widząc ją n.p. zamiatającą korytarz, ale każda czyha dyskretnie na sposobność, by ją wyręczyć w czemkolwiek i nie potrzeba dobitnych rozkazów, aby wola jej i doświadczenie wskazywały młodszemu drogę obowiązków.

Ślicznie się zarysowuje współżycie tego harcerskiego ogniska z ludem okolicznym. Mieszkańcy sąsiedniej wioski przedstawiają na szczęście wyjątkowo dobry materiał do oddziaływania: prostoduszni, serdeczni, nieczepsuci wpływami miasta, doskonale kierowani przez niezwykle zacnego proboszcza, odnoszą się do „Cisowego Dworku” z szacunkiem i pewną już ufnością. Narazie przychodzi im stamtąd umiejętna i chętna pomoc sanitarna, oraz dobry wpływ dla dzieci, organizowanych w drużyny „wilczków” i „krasnoludków”. Wesoły ich gwar napędza co kilka dni drewniane ściany: bawią się w gry różne, śpiewają pieśni, słuchają krótkich, popularnych wykładów i ślicznych bajek. Dostają tu także wskazówki dla siebie i rodzin swoich w sprawie różnych gałęzi przemysłu domowego, mogą nawet sprzedawać tu niektóre wyroby, które szkoła gromadzi i posyła w świat w większych ilościach (kierpce góralskie, zabawki z drzewa, naczynka gliniane).

Niegorsza „propaganda” odbywa się przy czystym opatrunkowym stoliku, do którego dostęp wolny jest każdemu i o każdej porze. Zapracowane harcerki poświęcają jednak chorem we wsi przeciętnie 2 godziny na dzień.

Nasłuchiwałam się wiele o wszechludzkiem braterstwie, ale raz jeden tylko w życiu widziałam, tu właśnie, jego przykład żywy: młodą, bogatą Angielkę, pochyloną z całkowitem skupieniem nad zranioną ręką polskiego górala. To panna Violeta Mason, przyjaciółka i najbliższa współpracownica p. Małkowskiej, organizatorka działu sanitarnego w „Cisowym Dworku”, jedna z tych co bronią honoru Polski na potężnej, dalekiej wyspie...

Bez wątpienia, dużo jest pierwiastków w kulturze anglosaskiej, które wartoby do nas przeszczepić, czy jednak nie czyni się tego tutaj, mimo całego najszlachetniejszego patriotyzmu, trochę zbyt gwałtownie, zbyt bezkrytycznie?... Trzeba bardzo uważać, poprawiając życie narolowe, aby nie skrzywić w niczem jego najgłębszego ducha, i nie uszkodzić żadnej z pięknych cech swoistego obyczaju...

Skoro już mówimy szczerze, to trzeba podnieść jeszcze jedno zasadnicze niebezpieczeństwo w organizacji „Cisowego Dworku”, to właśnie ta samowystarczalność, która stanowi jego chlubę. Obchodząc się zupełnie bez służby, harcerki zaniebują z konieczności swe życie umysłowe: przeciążone pracą fizyczną, nie mogą już nic czytać, nawet gazet!

Na początek było to może koniecznością ze względów materialnych, ale jako święta zasada, nie da się stale utrzymać. W przyszłości, choćby nawet personel był liczniejszy, to musi więcej czasu poświęcać dzieciom—choćby dlatego właśnie, by w nich wyrobić prawdziwą samodzielność, a nie tolerowane niedbalstwo—rozszerzyć opiekę sanitarną nad góralami, a może i na inne sposoby wśród nich działać. O ileż pożyteczniej byłoby organizować tu odczyty i kursy popularne, niż koniecznie własnymi rękami dźwigać węgiel z piwnicy, rąbać drzewo i czyścić zabłocone buty! Jakże pięknie można wcielić do tej pracowitej społeczności i służbę także, czyniąc ją domownikami w całym tego słowa znaczeniu, zbliżając się przez nich także do wsi całej!

Mam wrażenie, że życie samo doprowadzi niedługo te szlachetne i rozumne kobiety do uznania prawdy owej... Nie masz dzieła ludzkiego bez błędów, a w dziele p. Małkowskiej widzę ich doprawdy dziwnie mało!

Nie ulega wątpliwości, że charaktery młodzieży i ludu będą tu miały idealne wprost warunki do pięknego rozwoju. Hodować je będzie żywy przykład niezmordowanej pracy i ta niezwykła atmosfera duchowa, która uderzać musi każdego przybysza już w pierwszym dniu pobytu. Atmosfera ideału, obranego z wszelkich frazesów, rażnej, młodej energii, prawdziwego umiłowania Ojczyzny i ludzkości na głęboko religijnym podłożu.

To wszystko wcielane jest w życie na każdym kroku, tak konsekwentnie i bezpośrednio, tak bez żadnych wykrętów, że aż chwilami onieśmiela prawie. Taka właśnie prostolinijność najzdrowsza jest dla kształtowania młodych dusz.

Warto naśladować tę inicjatywę... Jakże inaczej wyglądać będzie Polska, jeśli ją pokryje sieć takich „dworców” harcerskich, rozciągana coraz szerzej i gęściej... Z takich punktów zetknięcia rzeczywistości ze wzniosłym programem musi wynikać udoskonalenie życia. W ten sposób ujęte harcerstwo staje się czemś znacznie donioślejszym, niż wygląda z pozoru: choć formy z obcych czerpie wzorów, sięga jednak do głębin [polskiej] duszy, by dobyć z niej zdrowe ziarno. §

* * *

Już lada dzień zabielią się od namiotów wzgórze nad Dunajcem, zawre „Cisowy Dworek” młodym gwarem przybyszów z całej Rzeczypospolitej. Lato, to pora kursów i obozów, pora najznojnniejsza: brak miejsca i czasu na obcych tak gościnnie popodejmowanych kiedyindziej.

Lecz kogo los zapędzi w tamte strony, pomiędzy czarowne ruiny zamków Czorsztyna i Niedzicy, ten powinien kilka godzin poświęcić, aby oglądnąć dom i ogród na słonecznym stoku i choć z boku się przypatrzeć temu osobliwemu, bujnemu życiu, co je wypełnia, promieniując daleko dokoła. — Z. Z. K.

KONGRES FEMINISTYCZNY W PARYŻU

Żywe zainteresowanie wzbudził w Paryżu 10-ty Kongres Międzynarodowego Związku dla politycznego równouprawnienia kobiet zwołany tutaj na czas od 30-go maja do 8-go czerwca r. b.

Związek ów założony w 1904 r. zorganizował już dla wspólnej pracy kilka milionów kobiet, przedstawicielek państw i krajów z całego świata. Kongresy Związku, zwoływane mniej więcej co 3 lata, odbywały się poprzednio — Londynie (gdzie rezyduje zarząd Związku), Amsterdamie, Berlinie, Budapeszcie, Sztokholmie i Rzymie. Kongresy te były stale najzyczliwiej przyjmowane przez rządy danych państw i popierane przez wielu wybitnych mężów stanu.

Oprócz głównego celu Związku, polegającego na wywalczeniu równych praw dla kobiet i ulepszeniu warunków jej bytu tak społecznego jak i moralnego, zajmuje się pozatem Związek sprawami higieny, zdrowia publicznego i opieki nad dzieckiem, Ligi Narodów, powszechnego pokoju i t. d.

600 oficjalnych delegatek i około 2000 uczestniczek Kongresu zjechało obecnie ze wszystkich stron świata do stolicy Francji, która przedstawia jedno z ostatnich państw, gdzie kobietom dotychczas nie przyznano żadnych praw politycznych, praw z których gdzieindziej korzysta już więcej niż 150 milionów kobiet.

Bazą działalności Kongresu stał się główny gmach Sorbonny. Olbrzymie hale zajęły biura informacyjne, propagandowe i prasowe. Tu rozdawano darmo broszury, zaznajamiające z działalnością Związku, sprzedawano programy, sprawozdania z posiedzeń, fotografie wybitniejszych uczestniczek i t. d.

Przyległe sale były zajęte przez poszczególne komisje, czynne już od 28-go maja:

1. Komisja matki niezamężnej i jej dziecka.
2. Komisja zrównania warunków pracy mężczyzn i kobiety.
3. Komisja dodatkowego wynagrodzenia na rodzinę.
4. Komisja narodowości kobiet zamężnych.

Imponujący był spis nazwisk 600 delegatek ułożonych wedle alfabetycznego spisu krajów i państw.

Począwszy od wielkich mocarstw obu półkul, figurowały tam również przedstawicielki Australii i No-

wej Zelandji, Peru, Boliwii i Kolumbji, a nawet Nowej Ziemi Islandji.

Slicznie były przedstawiciele kraje skandynawskie, państwa bałkańskie, Finlandja, Estonja, Litwa, Ukraina, — ale niestety nie było ani jednej delegatki z Polski!

Dnia 30 go maja odbyło się uroczyste otwarcie Kongresu w wielkim amfiteatrze Sorbonny. Za długim stołem, na którego zielonem suknie widniał jasno wyhaftowany ogromnymi literami napis „Jus suffragii”, zasiadło prezydium Związku, oraz kilku przedstawicieli rządu francuskiego, otoczonych trzema rzędami foteli dla 42 przewodniczących poszczególnych delegacji. Krzesła parterowe zajęły inne delegatki i uczestniczki zjazdu, wyższe rzędy oraz galerja wypełniły tłumy publiczności i przedstawiciele prasy.

Na pierwszy rzut oka można było skonstatować wzorowy porządek i wyborną organizację.

Kilka skautek w mundurach przestrzegało ładu, wyznaczało miejsca delegatom wedle ich narodowości, przekazywało polecenia prezydium.

Widok był istotnie niezwykle i ciekawy: oto miało się przed oczami kilka tysięcy niestrudzonych bojowniczek równouprawnienia kobiecego, wiele z nich to starsze, a nawet wiekowe kobiety, które nie uległy się dalekiej nieraz podróży w celu porozumienia się z siostrami z całego świata, obok nich młode kobiety i młodzietkie dziewczyny, krótko strzyżone główki przy staromodnych keafurach w loki, ostre rysy Anglosaskonek i jasne cery kobiet z Północy przy śniadych twarzach i czarnych oczach Hiszpanek i Włoszek — dalej zaś matowy brąz Indusek i zasłony ich tkane srebrami i złotem, drobne postacie Japonki i piękne rysy Turczynek i Egipcjanek, kilku przedstawicieli rządu, kilku senatorów i posłów dopełniało całości.

Przewodniczył zebraniu minister oświaty p. Lamoureux, siedząc po prawicy prezeski Międzynarodowego Związku pełnej wdzięku pani Corbett Aschby.

Przemówienie ministra, w którym życzył Francji jak najszybszego zrealizowania równouprawnienia politycznego kobiet i podnosił wartość ich współpracy przy administracji i organizacji państwowej, było entuzjastycznie oklaskiwane, jak również mowa powitalna prezeski. Pani Corbett Aschby przedstawiła w treściwych słowach program ruchu feministycznego,

mającego na celu postęp ludzkości w imię sprawiedliwości i pokoju, stwierdziła stałe rozszerzanie się Związku i zwycięstwa odniesione w ciągu ostatnich lat: prawo głosu we Włoszech, Hiszpanji, Grecji, w niektórych państwach Indji i w Nowej Ziemi, oraz zadziwiający rozwój działalności „na bliskim Wschodzie i w Ameryce Południowej.

Podkreśliła znaczenie tego wszechświatowego porozumienia kobiet między sobą, trwałej przyjaźni, która stąd wyniknie i zakończyła temi słowy: „Cierpieniom, pod ciężarem których jęczy cały świat, przeciwstawimy wszechmocną potęgę: miłość macierzyńską.“

Następnie przemawiały w tym samym duchu podniosłego idealizmu i niezłomnej wytrwałości w dążeniu kobiety z obu Ameryk, Afryki i Australji; odezwała się również piękna angielszczyzną poetka Hinduska w malowniczym stroju narodowym i piękna Egipcjanka pani Szarani, której mądre i śmiałe słowa przy ujmującej powierzchności wzbudziły nie milknącą burzę oklasków!

Całe ranki spędzały delegatki na obradach, na których ustalano dalsze plany działania.

Publiczne posiedzenia wieczorne wypełniały mowy wybitnych przedstawicieli parlamentaryzmu z różnych krajów, sprawozdania z działalności komisji i ustalonych wniosków, orzeczenia francuskich mężów stanu życzących usposobionych dla równouprawnienia kobiet.

Wieczór 2-go czerwca był poświęcony protestom przeciwko niesprawiedliwemu dla kobiet prawodawstwu kodeksu Napoleona.

5-go czerwca zorganizowano demonstrację feministyczną, niestrudzone sufrażystki objechały wszystkie dzielnice Paryża w otwartych „auto-cars“, uświadamiając przechodniów zapomocą okrzyków i napisów i rozrzucających lotek o celu tych dążeń.

Tego samego dnia wieczorem odbył się w wielkiej sali Trocadéro, przy olbrzymim napływie publiczności meeting kobiet wszystkich narodowości w imię wszechświatowego pokoju. Zebranie to odbyło się pod przewodnictwem p. de Monzie, ministra robót publicznych i p. Harriot'a, prezydenta Izby, namietne przemówienia najwybitniejszych delegatów, przepłacone piękną muzyką, miały na celu apoteozę Ligi Narodów i jej działalności, mającej ochronić ludzkość od strasznego rozdarcia wojennego, śmierci, klęsk i nędzy.

Ogólne wrażenie Zjazdu było niezmiernie podniosłe, a cała prasa francuska i przedstawiciele rządu z prezydentem Doumergue i p. Briand na czele, okazali dużo sympatji dla działalności Kongresu i jego dzielnych uczestniczek.

Duch zgody i porozumienia, łączący zebraną tutaj ze wszystkich krańców świata elitę kobiecą, budził radosną wiarę w możliwość stworzenia pomiędzy narodami stosunków opartych na wzajemnej sympatji i głębokim zaufaniu.

Dr. Maja Czapska.

W MIEJSKICH SZKOŁACH RĘKODZIEŁ



Miasto Warszawa utrzymuje trzy żeńskie szkoły rękodzielnicze, stanowiące ubożego szkolnictwa zawodowego kobiecego część poważną. Poza tem bowiem istnieje w Warszawie Państwowe Seminarjum nauczycielek rzemiosł (ul. Nowowiejska 43) i państwowa szkoła zawodowa żeńska (Wil-

cza 16). Istnieje oczywiście dużo podobnych szkół i kursów prywatnych, niekiedy nawet wspomaganych przez Państwo, ale władze państwowe i samorządowe zdobyły się dotychczas w stolicy Polski tylko na te 5 instytucji, poświęconych zawodowemu kształceniu kobiet.

Pomimo, że ostatni minister oświaty, p. St. Grab-ki, kładł w swoich programach i przemówieniach silny nacisk na szkolnictwo zawodowe, pod rządami jego ani tych szkół nie przybyło, ani nie rozwinęto ich działalności, nie posunięto pod żadnym względem w rozwoju.

Przeciwnie, tak jak całe szkolnictwo, walczyć musiały i one z rosnącymi wciąż trudnościami.

Po staremu cierpią szkoły te na brak lokalów tamujący ich wzrost i ograniczający wartości wewnętrzne.

Szkoły miejskie urządziły na zakończenie roku szkolnego wystawy prac swych uczennic. Była więc sposobność zapoznania się z plonem całorocznych wysiłków i z położeniem każdej ze szkół.

Zróbmy pobieżny przegląd tego wszystkiego. Szkoła № 1 przy ul. Dolnej 25 (Mokotów) przedstawiona jest najlepiej i ma za sobą już piękną tradycję.

Na przeszłorocznej wystawie sztuk dekoracyjnych w Paryżu otrzymała złoty medal za swoje koronki. I dziś można też w dziale tym zobaczyć rzeczy bardzo piękne. Zwraca uwagę jakaś pajęczynka cienka i misterna. Aż trudno uwierzyć, że to koronka klockowa — praca egzaminacyjna jednej z uczennic, nie do sprzedania, bo przeznaczona do Muzeum szkolnego. Są i igiełką wyrobione różne cudne, i drobnutkie friwolity, teneryfy, aplikacje na tiulu i t. d. i t. d.

Wszystkie te rzeczy mają oczywiście swoje zastosowanie: do bielizny, jako laufry na stoły, saszetki, ozdoby chusteczek, koszul, firanki i t. p. Dział ten budzi ogromne zainteresowanie zwiedzających, ale innych lat, na innych wystawach był, zdaje się, bogatszy; może dlatego, że najpiękniejsze rzeczy w tym dziale wytwarza kurs III-ci, traktowany, jako pracownia, przyjmujący zatem obstalunki, a że, przy ogólnem zubożeniu mało kto zamawia koronki!

Szkoła prowadzi także tkactwo i kilimkarstwo. Wzory z temi pasiakami zawieszono ściany; z pośród kilimków zwraca uwagę jeden oryginalnością pomysłu i ładnem wykonaniem. Przedstawia dno morskie. Kombinacja muszel, porostów morskich — bardzo niezwykła i efektowna.

Ciekawym okazem tkactwa jest tkana chorągiew, obstalunek jednej z drużyn harcerskich. Wszystkie emblematy, symbole wykonane na warsztacie tkackim.

Są także obrazy płócienne, zdobne haftem, serwety, ręczniki.

W dziale bielizniarstwa prześliczne mereżowane koszule nocne markizetowe, opalowe i t. d.

Są także crêpe de chine'owe bluzki, zdobne me-
reżkami i haftem. Wszystko to, zwłaszcza rzeczy naj-
lepsze, z kursu III-ciego, robione jest przeważnie, na
zamówienie.

Ceny są znacznie niższe od sklepowych.

Oto garść wrażeń z wystawy.

Co do samej organizacji szkoły, nie wszystkie
dziewczęta przechodzą wszystkie działy. Od począt-
ku specjalizują się.

A więc bielizniarstwo z haftem białym stanowi
jeden dział, bielizniarstwo z krawiecczyną — drugi,
tkactwo i kilimkarstwo — trzeci, koronkarstwo i haf-
ciarstwo — czwarty.

Kurs na wszystkich działach 3-letni. Był nadto
kurs wstępny, który znosi się obecnie, ponieważ
szkoły powszechne dostarczają już dostateczną ilość
odpowiednio przygotowanych kandydatek.

Tu zaznaczyć trzeba, że niekażda jednostka na-
daje się do szkoły rękodzielniczej.

Do haftu i koronek, a nawet do szycia bielizny,
lub sukien, tembardziej do wyrobu kilimów posiadać
trzeba pewnego rodzaju talent i upodobanie. Tra-
fiają się dziewczęta tak pozbawione zdolności w tym
kierunku, że muszą w ciągu roku przerwać naukę,
która nie doprowadziłaby do niczego.

Są też tu niezbędne i pewne warunki orga-
niczne: doskonały wzrok, silne zdrowie, (praca w szko-
le, praca bez ruchu trwa 8 godzin) i wytrwałość.
To też przy nowych zapisach kładzie się silny na-
cisk na tę stronę sprawy.

Lekarze badają starannie wzrok kandydatek
i ogólny stan ich zdrowia. Nie przyjmuje się bardzo
anemicznych, gruźliczych i t.d. Frekwencja szkoły
jest mimo to bardzo duża. W roku ubiegłym było
w szkole 139 uczennic, a możnaby przyjąć dwa razy
tyle, gdyby było miejsce.

Co do systemu nauki w szkole, polega on na
łączeniu wykształcenia ogólnego z zawodowym.

Przyjmuje się dziewczęta, które ukończyły 4 kla-
sy szkoły średniej, lub 7 klas szkoły powszechnej
i prowadzi się je w dalszym ciągu, pod względem
przedmiotów ogólnych, dodając jednak przedmioty
specjalnie w szkole zawodowej potrzebne: jak ko-
stjumologię, historję poszczególnych specjalności,
np. hafciarstwa, koronkarstwa i t.p.

Bardzo silny nacisk położony jest na naukę
o barwach i na rysunek. Cztery godziny kreślenia,
6 godzin rysunku tygodniowo mają uczennice na nie-
których kursach. To też wszystko, co widziny na
wystawie, jest ich samodzielną kompozycją. Nie
wolno korzystać z wzorów.

Tworzy się samodzielnie zarówno model sukni,
jak wzór na kilim, lauffer, czy serwetę. Oczywiście
wolno oprzeć się na motywach ludowych, czy in-
nych, a przy rysowaniu takich oprzeć się trzeba na
linjach panującej w danej chwili mody, ale w tych
ramach pomysł ogólny musi być własny.

Wykształcenie handlowe stanowi dopełnienie
konieczne powyższego programu.

Dziewczęta przechodzą zatem księgowanie i kó-
respondencję handlową, uczą się kalkulacji cen, wy-
pisywania rachunków; na 3-cim kursie same przy-
mować muszą obstalunki i przeprowadzać kalkulacje.

Tym sposobem, ukończywszy szkołę rękodziel-
ną, mogą śmiało, oczywiście po paru latach praktyki,
sięgnąć po stanowisko kierowniczkę pracowni, albo
otworzyć pracownię własną, pewne, że podołają za-
daniu.

Oplata w szkole wynosi 10 zł. wpisowego
i 60 złotych rocznie za naukę. Materiałów szkoła

nie daje. Na trzecim kursie, połowę dochodu za wy-
konane obstalunki otrzymują uczennice. Wszystko, co
dotyczy programu i organizacji stosuje się z drob-
nemi różnicami do wszystkich miejskich szkół ręk-
kodziel dla kobiet. Dodać jeszcze trzeba, że w szko-
łach prowadzi się także kursy wieczorne dla osób
dorosłych i dla młodzieży. Kursy te półroczne, rocz-
ne, lub paromiesięczne dają możność wyćwiczenia
się w kroju, szyciu, hafcie, mereżkowaniu i t. p. w za-
kresie potrzeb domowych.

Wspomnijmy jeszcze o wystawach dwu pozosta-
łych szkół.

Szkoła Nr. II-gi przy ul. Szczęśliwej Nr. 6 ma
180 uczennic i nie może ich pomieścić w drewnianym
parterowym budynku. Węć jeden z oddziałów Szkoły
funkcjonuje na Pławnej, drugi na Zakroczymskiej.

Oto najlepsza ilustracja dbałości Miasta o za-
wodowe szkolnictwo kobiece. Podobno jest już plac
pod wielki gmach szkół zawodowych, jest podobno
i plan gmachu, tylko na budowę niema pieniędzy...

A szkoła stoi bardzo wysoko, zwłaszcza kra-
wiectwo, którego kurs trwa tutaj wyjątkowo 4 lata.
Również haft biały, kolorowy i kościelny ma na wy-
stawie doskonałe okazy.

Zwraca uwagę wspinała chustka z białej crêpe
de chine, haftowana złotem, szal liljowy i t.d.

Szkoła uprawia tylko 3 działy: krawiectwo,
hafciarstwo, bielizniarstwo, ale prowadzi je znako-
micie.

Na Pradze, wielkiem i przez niezamożną ludność
zamieszkanem przedmieściu, jest tylko jedna szkoła
rękodziel. Uczennic 105. Ani więcej uczennic pomieścić
niepodobna, ani marzyć nie można o rozszerzeniu
programu. Poprzestać trzeba na 3-ch działach, jak
powyżej.

Wystawa przedstawia się [może nieco mniej
efektownie, niż w dwu poprzednich szkołach, co ma
źródło w okolicznościach od obecnego kierownictwa
niezależnych, znać jednakże wielką staranność i pracę.

Wśród rozwieszonych tu okazów zwracają uwa-
gę trzy rysunki sukien. Wszystkie trzy są kompo-
zycją jednej wyjątkowo zdolnej uczennicy. Bardzo
szlachetne w linjach rysunki te mają nadto jakiś
szczególny „sznitt“, szyk, dystynkcję.

Podkreślam to, ponieważ kolosalne sumy wy-
daje kraj nasz na zagraniczne wzory mód, na kli-
sze, odbitki i t.d. A możnaby tę gałąź przemysłu
całkiem ująć w nasze ręce, dając odpowiednie wy-
szkolenie zdolnym do rysunku dziewczętom. Zdol-
ności tych więcej u nas, niż gdziekolwiek! Mimo to
kobiety nasze marmują się z braku pracy.

Jeszcze jedno podnieść tu należy.

Szkoły Rękodziel są kolosalnym postępem w sto-
sunku do tej metody, która zmuszała ongi i dziś
zmusza jeszcze do praktykowania dziesiątkami lat
w pracowniach, zanim, używana raczej na posyłki,
niż kształcona, uczennica posiędzie wszystkie tajem-
nice kunsztu.

Zdumione były osoby fachowe, zwiedzające te
wystawy rezultatami tak krótkiej, bo tylko 3 letniej
nauki.

To też należałoby życzyć, by stanął nareszcie
ten obiecany przez Miasto gmach, by stało się
ich kilka, tyle ile ich Warszawie potrzeba, tak by
typ umęczonego w pracowni dziecka, uczennicy,
odnoszącego w pudełkach suknię, biegającego po
bułki i ciastka, po nici i guziki i t. d., znikł całko-
wicie z pstrej mozaiki ulic Warszawy.

Do spraw tych powrócimy jeszcze.

LUCJAN ANDRÉ

ZA MIASTEM

Białe mgły, zmierzchu modrego zwiastuny,
Wyszły na łaki patrzeć, jak się w wodzie
Przegląda odbłask krwawej słońca łuny,
Która zagasła oto na zachodzie.

Wśród fioletowych, modrych, szarych cieni
Krzyż na rozstaju szerniało ramiona
Ukrył w listowiu brzoź... Jak zapomnieni
Nikną zeń Chrystus i z ciernia korona.

Już tylko brzozy chwiją się jak widmo...
Przepadły w mroku dziennych dróg koleje—
Cisza króluje nad piaszczystą wydumą,
I nawet żółty piasek błękitnieje.

Światelka nikiła wdali... To miścina,
Gdzie serca nasze cierpiały tak za dnia,
Teraz bliskiego coś nam przypomina,
I ból obłędny miękko obezwładnia.

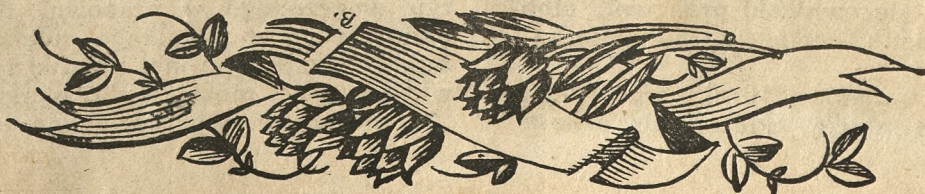
Więc powracamy, — w wieczoru opończy
Niosąc skarb rzadkich i dziwnych pamiątek:
Wszędzie się ziemia i materja kończy,
Wszędzie przestrzeni bezkresnej początek!

.....

Zmierzchu, coś przyszedł jak czarodziej, który
Problemat szczęścia ujmuje najprościej,
Łagodząc ostre, brutalne kontury,
Zapadającej w sen rzeczywistości, —

Coś przyszedł jako pieszczota matczyna,
Niematerialne i błękitne dłonie
Kładąc na wszystko to, co żyć zaczyna,
I to, co myśli o jutrzejszym zgonie, —

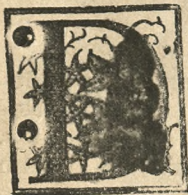
Zdołasz tak ludzkie uśpić niepokój,
Uczucia, myśli, zbłąkania i cele, |
By świat podziwiał arcydzieło twoje:
Nędzę — zaklętą w subtelne pastele?



BAJKI ZŁOTOGRODZKIE.

Z. REUTT-WITKOWSKA.

ZŁOTE RÓŻE



lugo płynęli po diamentowej rzece, w srebrnym czółenku z jedwabnymi żaglami; wreszcie zatrzymali się u samego podnóża Góry Lodowej. Było tu bardzo zimno. Aż i diamentowa rzeka zamierzała nieraz okryć się lodem, i pewnie pofolgowałaby chęci, ale nie wypada wszak diamentowej rzece zachowywać się, jak lada mokrej wodzie!

Najpracowitszym promykiem rumianego słońca odechciało się tu grzać. Wiedziały, że praca ich i tak zeszlaby na nic; uwzięły się zato świecić, ile wlezie. A słońce rumiane było od mrozu właśnie, choć otuliło się szczerze ciepłym płaszczem, zszytym ze trzy razy trzech tysięcy puszystych obłoków, najpięściwszej barwy. Płaszcz był duży taki, że rozpostarł się po całym niebie, a słońce, bardzo temu rade, patrzyło z pod kapturka prosto na szczyt Góry Lodowej — i napatrzeć się nie mogło.

Bo też i było na co patrzeć! Tam, wysoko, kwiecił się wspaniały ogród. A rosły w nim tylko róże. I wcale nie zwyczajne róże, a złote! Szczerozłote ze szmaragdowymi liśćmi. A jak błyszczwały, ważąc się dostojnie w przezroczym powietrzu!

Srebrne czółenko zatrzymało się tedy u podnóża Góry.

„Tu trzeba nam się rozstać!” rzekł dziwoludek chłopcu. „Jeżeli dojdiesz do szczytu Góry Lodowej, i zerwiesz złotą różę, i przytulisz ją do serca a szczerwienisz jej złote płatki krwią własną, wtedy świat cały królestwem ci będzie, ty zaś uczynisz go królestwem dobra. I ludzie, i dziwoludki sługami będą twoimi, a ty ich na wieki uszczęśliwiesz...”

Takich się dziecię bajek nasłuchiwało do snu.

Nieuchwytnie rzeczywistość przeszła w sen, a sen stał się nową rzeczywistością. — Nie bajka to już, lecz marzenie: stanęło dziecię samo u podnóża Góry Lodowej. Dziwoludek zniknął, czółenko srebrne przepadło; diamentowej rzece okrutnie chce się zamrznąć, a słońce rumiane otula się gęsto płaszczem i śmieje się, co sił w promykach.

Szczytu góry jeszcze nie widać... A toż co! przecie to już on właśnie! Szczyt!

Jest ogród, i złote róże są i chłodu wcale nie czuć... Jak niepostrzeżenie odbyła się ta ledwie możebna podróż!

Strach patrzeć. Róże większe są od zwykłych i błyszczą bardzo, oczu zaś jakoś przymrużyć nie można...

Zaszeleściły krzaki, szmaragdowe liście trącają o się wzajem, dźwięczą, niby tysiąc szklanych dzwoneczków, takich z choinki. Ostrożnie! coś ci tam syknęło... czy to?! A może to żmija?... Nic to. Dalej, rwać: „a świat cały królestwem ci będzie, jeśli...” Jeśli co? — „Nie wiem; nie pamiętam. Wszystko jedno! byle tylko złotą różę mieć co prędzej”.

Dziwne: dlaczego ona tak bardzo świeci? No już! wyciągam rękę... A coś w tem silniej zaszczy, zjeżdżają się szmaragdowe gałązki: wstały na nich kolce, czarne, długie, ni to żądła węzowe, dwoiste... Ugryzł! „Róża! Boże mój... Mamoli ugryziel...”

Głosu dobyć nie można. „Mamoli!”

Lecz co to? przecie to nasz ogród! A to zwyczajne, żółte i czerwone róże. Dzieci grają w piłkę... Ktoś mię woła... Więc to był sen?

„Mamo, czy chłopczyk także nie mógł zerwać róży?”

Mały chłopczyk zaczął iść i szedł, aż doszedł do samego szczytu Góry Lodowej. Wtedy chciał zerwać złotą różę i przygarnąć do serca, i płatki złote szczerwienić krwią własną.

Zaszeleściły krzaki. Szmaragdowe liście trącają o się wzajem.

„Nie tykaj się nas, nie tykaj...” szemrzą złote róże. „Ani świat cały królestwem ci będzie, ani uczynisz go królestwem dobra... Dziwoludkowie ni ludzie nie będą sługami twymi, ani uszczęśliwisz ich. — Dziwoludek zwiódł cię okrutnie. Lecz my litujem się młodości twojej. Przeto powiadamy ci naszą prawdę: kolce nasze strułyby w tobie serce: tkwi w nich jad złości i nienawiści tych właśnie, którychbyś pragnął uszczęśliwić. Żegnaj! — i nie szukaj nas więcej...”

Pociemniało, zasumiało. Znikły róże złote, góra, słońce i diamentowa rzeka. Chłopczyk wędruje po szarej drodze, której początku nie widać, ni końca, ni brzegów. Ludzi tu mnóstwo: każdy w swoją śpieszy stronę. Jedni, spotykając chłopczyka, wskazują go sobie palcami, patrzą nań z pogardliwą złą litością, albo nawet uśmiechają się uprzejmie — aż mróz po sercu idzie. Byli też, co wcale go nie spostrzegali.

Nie widzi ani tych, ani owych. Róże widzi złote ze szmaragdowymi liśćmi...

— „Nie dotykaj nas” szepczą. Przecie krokiem każdym bliższe, są coraz i bliższe. Ku niemu się nachylają, maluczko, a spóźną mu na skroni usta ich złote.

Chłopczyk nie marzy już ani o swem królestwie, ani o jego dobru; ani o ludziach, ani o dziwoludkach — ani też o szczęściu niczyjem. Bolesnie mu jest i cudnie.

Nachyliły się ku niemu róże złote, czuje we włosach powietrzny ich oddech. Zapomina o kolkach: przecie nie rwie róż, bo nadto się w nich rozmiłował. One same kładą mu na serce dumne głowy swoje...

I dziw! Chłopczyk wcale już nie wędruje po tej brzydkiej burej drodze.

Objęły go tumany srebrzyste, pełne światła. Zatonało Dziecię w różach.

Purpurowe były i nie miały kalców.



CZEKANIE

Czekać można na różne sposoby.

Można np. „oszukiwać los“, tj. udawać, że się wcale nie czeka, najspokojniej „robiąc swoje“, jak gdyby nigdy nic, i ani okiem nie mrugnąć, gdy brama trzaśnie na dole. Można czytać, szyć, cerować pończochy, poprawiać kajety czerwonym ołówkiem, rozmawiać z ożywieniem, odrobineczkę tylko nieruchomiejąc, gdy skrzypną schody.

Ale tak się czeka tylko we wczesnym stadium czekania, kiedy nie jest jeszcze rażąco późno, kiedy na schodach pali się światło, a na dole brama jeszcze otwarta. Nieobecność oczekiwanego tłumaczy się wtedy pogodnie tysiącem przyczyn dopuszczalnych i łatwo zrozumiałych.

Gorzej jest w późniejszym stadium czekania, gdy na schodach jest ciemno, stróż zamknął już bramę, w całej kamienicy zamiera ruch i gasną światła, i coraz trudniej wyszukiwać te dopuszczalne przyczyny.

W pewnej chwili poprawianie kajetów, czytanie i łapanie spadłych oczek w pończosze specjalną igłą — staje się nie do zniesienia. Rezygnując z pozorów, zaczyna się czekać zawodowo, chodząc po pokoju.

Przy tym sposobie doszedłszy do czarnego okna, należy się zatrzymać i postać chwilę, przycisnąwszy twarz do zimnej szyby. Oczy wbić w ciemną studnię podwórka. Mogłoby się zdarzyć, że właśnie w tej chwili stróż, obudzony dla niego tylko do słyszalnym dzwonkiem, posunie przez podwórze, człapiąc pantoflami, i zniknie w czarnym tunelu bramy, który za chwilę się rozświetli. Zgrzytnie, zaskrzypi, ciężko zatrzaśnie się brama, i może, może...

Ale to się rzadko zdarza. ¶

Bywa jednak, że i takie chodzenie po jednym pokoju już nie wystarcza. Trzeba chodzić przez wszystkie trzy pokoje w amfiladzie, z postojem nie tylko u okna, ale i w ciemnym przedpokoju u drzwi wejściowych. Bo mogłoby się tak zdarzyć, że właśnie w tej chwili na schodach...

Pani dyrektorowa, czy profesorowa zna doskonale wszystkie te sposoby, wypracowała je znakomicie i wie — kiedy, którego z nich można zażyć. I wie, że na dzisiejszy wieczór wyczerpała już te łagodniejsze i już nic innego nie potrafi robić, jak czekać „na całego“, chodząc przez wszystkie trzy pokoje.

Jak chodzić — to chodzić, tylko niezatrzymywać się u drzwi wejściowych. To jedno sobie postanawia — i w tej samej chwili staje, wstrzymując oddech, zamieniona w słuch: na dole skrzypnęły schody. Ktoś stara się iść cicho, ale idzie głośno, nosami butów wymierzając szerokość stopni.

Stanie — nie stanie?

Nie stanął. Minął drzwi i poszedł na trzecie piętro. Trzeba znów czekać, chodzić długo, długo, przez wszystkie pokoje.

I o takim czasie, na drodze pomiędzy ciemnymi wejściowymi drzwiami, a szafą przy ścianie w ostatnim pokoju przeżywa pani dyrektorowa, czy profesorowa całe swoje życie.

Droga dzieli się na etapy. Chodnik, ścielący się przez przedpokój i tłumiący kroki — to jeden etap z postojem koło drzwi.

Oświetlony jadalny — to drugi etap z postojem przy oknie. ¶

A napół oświetlony lampą z jadalnego gabinet i ciemna sypialnia — to trzeci.

Rozpamiętywania też dzieli się na etapy.

Zaczyna się to od jakiegoś drobiazgu, od jakiegoś szczegółu, od mało ważnego wspomnienia. Na przykład było tak: wieczór jesienny, czy zimowy. W jadalni pali się lampą, ale nie elektryczną, tylko taka dawna naftowa, wisząca, teraz to już się prawie nie spotyka takich lamp. Rzuca jasny krąg na stół okryty ceratą białą w popielate kwadraty. A przy tym stole przyszła dyrektorowa, czy też profesorowa bawi się małymi pudełeczkami od pigulek i proszków. Ma ich dużo — dobiera je podług wielkości tak, żeby jedno dało się zamknąć w drugim. Zajęta jest pudełeczkami, ale coraz to spogląda niespokojnie na czarną szparę między ścianą, a piecem. Jest sama w pokoju — a nigdy niewiedomo, co w takiej czarnej szparze może się ukazać.

Wchodzi matka, niesie kluczyki i koszyczek z sucharkami. Sucharki zrobione są z małych bułeczek, rozciętych napół i posypanych cukrem z cynamonem. Teraz już nikt takich sucharków nie robi. Józefowa wnosi samowar, wbiegają chłopcy, słychać kroki i kaszel ojca. Robi się gwarno, wesoło, bezpiecznie, bezpiecznie! Cóż może teraz obchodzić kogo szpara za piecem! I mała dziewczynka rzuca się matce na szyję, dusi pocałunkami w poczuciu nagłej radości. Jest taka szczęśliwa!

Wtem znikają sucharki z cynamonem, pudełeczka, samowar. Znika szczęście. Mała dziewczynka zmienia się w dyrektorową, czy profesorową i wlepia oczy w ciemną szybę, wstrzymując oddech. Bo oto słychać człapanie pantofli stróża. Oświetla się wglębienie bramy.

Może, może?

Nie, nic z tego. Jakies rozbawione, głośne towarzystwo znikło we drzwiach oficyny poprzecznej.

Dyrektorowa, czy profesorowa wzdycha i powraca do przerwanej wędrówki.

Niema wiszącej lampy, ani stołu z ceratą, ani klejenia łańcuchów na choinkę. Niema też sucharków z cynamonem, ani strasznych szpar za piecem.

Nie usypia się już z anyżkowym piernikiem i suszonymi śliwkami pod poduszką. To już minęło.

Ale przyszło nowe — i znowu jest „strasznie dobrze“. Prostu cudownie. Nadzwyczajne uciechy bez żadnego powodu; jakieś tajemnice, jakieś oczekiwania „czegoś szalonego“. Wszystko owiane czarem cudownych przeczuć: i pogody i niepogody, i wyjazdy na wakacje, i zapach macierzanki w lesie, gdy się wracało z kąpieli z mokrym, kosmatym ręcznikiem na ramieniu...

Trzasnęła brama i serce zaczęło łomotać. Tym razem stróż wpuszcza starego pana z lewej oficyny. Skończone. Zrobiło się już strasznie późno — ale pani dyrektorowa, czy profesorowa zna sposoby. Będzie chodziła długo, długo — i ani razu nie spojrzy na zegar. Tak będzie najlepiej.

Potem zaczęło się tamto. Było nadzwyczajne: najcudowniejsze porozumienia aż do dna. Posiadania radosnej tajemnicy.

Niewypowiedziane, niesłuchanie szczęśliwe odkrycia, coraz to nowe.

I pomyśleć tylko, co się z tego wszystkiego zrobiło...

Trudno określić moment, kiedy się to właściwie zaczęło? Czy wtedy w kawiarni, kiedy po raz pierwszy zauważyła, że był taki strasznie znudzony? Czy na tym koncercie, kiedy tak błędził oczami gdzieś ponad jej głowę?

Zaczął się czekanie. Całe wieczory, całe noce czekania. Zaczęło się wieczne układanie jakiejś rozmowy, najważniejszej, ostatecznej, decydującej, która niby to miała wszystko wyjaśnić. Nazywało się to szumnie, że w tej rozmowie postawi się wszystko na jedną kartę. Że będzie albo tak, albo tak. Ale zaraz przy pierwszych słowach ostatecznej rozmowy okazało się, że wogóle niema o czym mówić. Najwspanialej obmyślane argumenty, miśternie skonstruowane w nocy czekania, marły na ustach. Nie było „ani tak, ani tak”. Było najzwyczajniej. Poprosto czekało się...

— Jakże ja mogłam myśleć, że jakiegokolwiek słowa mogą tu coś pomóc! — i pani profesorowa nieruchomieje, bo na schodach rozległy się kroki, ale wsiąkły już zaraz gdzieś na parterze.

Więc znowu nic. Więc będzie dalej chodziła i przemyśli to najgorsze. Od początku do końca, sumiennie, nic nie opuszczając.

Więc było tak: dawniej czekała, bo jej się zdawało, że można coś wyjaśnić, coś naprawić, coś przywrócić. Teraz już oddawna wie, że wogóle niema nic do wyjaśnienia, bo wszystko jest aż nadto jasne. Jakże bezgranicznie nudziły go te „porozumienia”. A ona zmarnowała tyle życia na to wieczne czekanie, i teraz już nie potrafi inaczej. I tak będzie już zawsze. Mój Boże, mój Boże...



Biją kwadranse i godziny. Stróż coraz rzadziej otwiera bramę; schody oddawna już nie skrzypiały. Wędrowka przez pokoje trwa. Wędrowka przez przeszłość już się skończyła. Pani profesorowa sumiennie przemyślała wszystko do końca i jest cała tu, gdzie stoi, przy tej czarnej szybie, pełna nienawiści, złości na siebie samą, i świadomości straszliwego bezsensu. A uszy nasłuchują, a oczy przebijają ciemność podwórka...

— Tak już będzie zawsze, bo nie mam siły na żadną zmianę. Przeczekałam całe życie i na wszystko już jest zapóźno. I to jest jedyna prawda!

Ale jest jeszcze inna prawda. Oto stróż znowu otworzył bramę i spóźniony lokator stara się iść po schodach jak najciszej. Pobrzękuje łańcuszkiem wyciągany z kieszeni klucz od zatrasku.

— Więc nie przejechał go samochód. Więc nie padł na ulicy na atak sercowy i nie zaniecono go nieprzytomnego do szpitala. Jakiegokolwiek jest i gdziekolwiek był — wraca! Teraz już napewno. Boże, jaka ja jestem straszliwie zmęczona!

Zatrzymują się kroki, klucz wsuwa się w otwór zamku.

— Znowu nie śpisz? a przecież prosiłem cię tyle razy...

Pani profesorowa, czy dyrektorka zdążyła już zasiąść z łokciami opartymi o stół.

Z nad książki podnosi się twarz zmęczona, blada, ale doskonale obojętna.

— Tak się zaczytałam, że nawet nie wiem która godzina. Czy to już tak późno?

Helena Boguszevska.

CECYLJA WALEWSKA

PANNA KAMILCIA

Historja prawdziwa.

2

Po tygodniu mycia, szorowania, czyszczenia podłóg, okurzania sufitów panna Kamilcia pierwszy raz zdjęła z głowy czerwoną chusteczkę, u fryzowała grzywkę, skarbowala włosy, upięła je w modny spłot na tył głowy, włożyła jasną bluzkę i plisowaną spódnice, upudrowala twarz, przyczernila brwi leciutko, oszlifowała paznogie, uperfumowała się i siadła na balkonie.

Zachodziło słońce kwietniowe. Od strony pól Mokotowskich zrywały się białe pruskie dwupłatowce i z groźnem warczeniem przelatowały nad domami, okrążając je, ścigając się, wykonywując hałaśliwe, zwinne zwroty na prawo, na lewo, wdół, wgórę i spuszczać się szczupakiem ku hangarom. Blyszczały w różowym słońcu ich skrzydła, połyskiwały silniki, wibrowala rytmiczne kołysanie, w takt którego gnały korowodem zdumione ptaki.

Ginał w chmurach i znowu wracał ten cud ludzki, który rok temu niespełna ział trwogą i zniszczeniem, rzucając na miasto śmiertelne pociski. Jeden z nich raz kiedyś rozpękł tuż prawie nad głową panny Kamilci. Śmiała się wtedy, bo była w tłumie, którego

ciekawość silniejsza jest od strachu, a żądza wrażeń drwi z bezpieczeństwa życia.

Dziś — w tej chwili dopiero zrozumiała:

— To była śmierć. Pędziła naoslep. Mogła trafić każdego. Trafiała codzień, co godzinę w tysiące istnień ludzkich tam — gdzie był bój..

Wojna... Pierwszy raz dopiero powiedziała sobie, straszne... Pola pełne trupów — żywe rany — ból...

Wojna... Dotąd ten wyraz brzmiał, jak inne — bez znaczenia — nic nie niósł. Zdawało się, gdzieś daleko, daleko... Tylko ten odmienny strój miasta. Żołnierze — wszędzie i wszystko dla nich. Pochody taborów — ulica jak kinematograf.

Mówiono o głodzie. Tak, teraz przyczajał się głód. Ona jeszcze codzień miała swój obiad i wicherze. Ale często pani wdychała:

— Może to już ostatnie. Może za tydzień nie będzie co jeść...

Wszystko za kartkami. Pan i pani należeli do różnych współdzielni, więc dotąd jeszcze nie trzeba było stać przed sklepami miejskimi w ogonkach. Ale co będzie jutro?..

Słońce kwietniowe już zaszło. Warczenie samolotów przycichło. Przedzmerchowy smętny nastrój obejmował miasto. Coraz spokojniej bawiły się dzieci na wielkim placu asfaltowym przed latarnią. Coraz leniwiej gawędzili z sobą stróże hal miejskich. Coraz powolniej ruszali się ludzie na chodnikach ulic. Tylko w jednym miejscu przed jakimś sklepem rósł tłum. Gromadziły się kobiety, starcy, dzieci. Stawali jedni za drugimi albo siadali w kucki. Niektórzy rozstawiali krzesła płócienne i w ścisłości zajmowali bezpieczne miejsca na całą noc.

— Ogonek za chlebem — pomyślała Kamilcia. I po raz drugi zrozumiała:

— Wojna... głód.

Pojęcia coraz wyraźniej — jakby przeświecone od wnętrza jej mózgu jakimś białym ognikiem — przedzierały się do pracy uświadomień i stawały przed nią jasnym konkretnym obrazem.

W starym domu nie miała czasu na refleksję. Odruch rzutował jej sygnaturką śmiechu. Zapadały w jakąś bezkolorową nicłość, która byłaby nią samą — treścią jej duszy, gdyby nie to jedno piekące bólem przypomnienie, ta jedna żywa rana wewnętrzna: „Hrabska krew w poniewierce“...

Za każdym dzwonkiem w przedpokoju i w kuchni, kiedy musiała otwierać drzwi posłańcom, szewcom, gościom niewiadomo jakim, — zrywał się w niej bunt:

— Jak prosta pokojówka!..

Głuszyła go praca fizyczna zdrowych, silnych rąk. Ale tkwił w niej — brytan przyczajony, który lada chwila zerwie się z uwięzi. A wtedy...

Sto razy — otwierając drzwi — miała ochotę popełnić jakąś niedorzeczność — trzepnąć gościa ścierką, albo odprawić go hardo od progu. Nie zrobiła tego. Z bezkolorowej treści tej duszy wypływał nawet uśmiech. Goście chwalili jej uprzejmość. Raz kiedyś jakiś aktor, czy literat poglądził ją po piersiach lubieżnie, a ona — zamiast uderzyć go w twarz — pogroziła mu tylko kułakiem, bo... dziwne... o, wstydział... to łaskotanie odebrało jej siły aż do omdlenia.

Tu — w nowym mieszkaniu — ra krańcach miasta — mało kto dzwonił. Zniknęli domokrażni przekupnie, interesanci, żebracy. Nie przychodzili bez zapowiedzi goście. Odpoczywały nerwy. Tu w tych wysokich, białych od światła pokojach wyobrażała sobie Kamilcia chwilami, że jest zakletą księżniczką. Gdy wjeżdżali dźwigiem na górę, zdawało jej się, że kresnoludki z bajki ciągną ją do zaczarowanego pałacu dziadka, który nagle wstanie z grobu i wprowadzi ją do sal z portretami przodków. Miała wrażenie, że stanie się w tym domu coś, co stać się musi, co nagle — cudem — wróci jej przeszłość hrabskiego rodu. Może zjawi się ktoś z krewnych — prawdziwy, w prostej linii Nieporebski — i wyciągnie ją z hańby poniewierki? Może — po wojnie — zwrócą im pałac i majątek dziadka?

Starzy państwo dobrzy byli dla niej, szanowali ją, ale zawsze to była... służba... Ona nie może tak zostać. Czuje — w tych progach odmieni się jej los...

Biały zmierzch kwietniowy już zapadł. Dzieci zeszły z placu przed halami. Został tylko długi — aż do chodnika poprzecznej ulicy — ogon przed sklepem z chlebem, solą, mąką — nędza, skazana na całą noc bezsenne wyczekiwanie.

Ścisnęło się serce panny Kamilci. Opanowała ją nagła — aż do omdlenia żałość.

Skąd?... Dlaczego?...

Nie rozumiała sama siebie. Takie dziwne uczucia powstawały w niej, odkąd przenieśli się tu, do tego nowego domu, jak gdyby rodziła się nowa jej dusza! Miała chęć spisywać to wszystko, ale jak w mgłę rozplywały się wrażenia i myśli, albo stały jakimś błękitnawym światelkiem, które — gasnąc — zostawiało po sobie tylko smutek bezbrzeżny i dziwnie obcą, bolesną, ale rozkosznie zarazem drażniącą tęsknotę.

Dlaczego dziś dopiero zrozumiała, że wojna to jest krew, głód, śmierć? To jest szaleństwo, rozpacz, obłęd, dla których niema słów w mowie ludzkiej? Dlaczego dziś dopiero zajrzało jej w oczy życie — krzywdą, które przecież przed nią postrzegali wszyscy? —

Wpatrzona w ciemniejącą plamę węża ludzkiego, który całą noc czekać musiał na chleb, — czuła w sobie nie wytłumaczoną vibrację, jak gdyby jakieś żywe, łaskoczące drobiny przepływały przez każdy nerw i rwały się na zewnątrz odruchem. Chciała wskoczyć na poręcz balkonu, wyciągnąć ramiona i przemówić głośno do tych ludzi tam wdole:

— Czekajcie!... Niech nie wyczerpie się cierpliwość wasza!... Przyjdzie dzień, wybiję ścizina — staną się rzeczy dziwne i wielkie. Będzie Polska! chleb, sól, radość spłynie na was!...

Skąd te obce wyrazy?... Skąd przepowiednia o Polsce?

Dotąd — nie myślała o Niej. Nie troszczyła się o Nią. Chyba — w chwili gdy wspominała dziadka, który zginął w powstaniu — dziadka hrabiego.

Ale — to nie było to.

Któregoś popołudnia przyszła odwiedzić Kamilcię siostra jej, żona stelmacha — cicha pani Walcia o dużych bolesnych oczach z portretów „Dzieci“ Wyspiańskiego, o ustach z główek Greuze'a i długich owalnych palcach spracowanych rąk, które łkały dole swojej.

Widywały się rzadko. Pani Walcia nie mogła odchodzić od dziecka, a Kamilcia nie lubiła szwagra, który perorował:

— Aristokracja... hrabianki... ledwie, że nie z królewskiego dworu... Służba nie pachnie... Puszek z pudrem w woreczku i pomadka do ust i glans do paznogi i trzy piórka na głowie... A gdyby była moda, to wsadziłoby się rondel, okręcony ścierką. Nie w smak praca. Chciałoby się pańskich kominików... łatwego białego chleba... może na kawalerskim garnuszku... Robotnicze ręce cuchną... Trzeba mel dunku z siedmiu rodów, żeby iść do ołtarza... A fioki, a żółte buty nie przychodzą same... droga do nich śliska... na pierwszej kładce pułapka... a potem — nie rychło Marychno...

Miał dla niej męża kowala. Już byłyby dawno zaręczyny, ale — fochy... grymasy... arcyksiężniczka...

Pani Walcia przy mężu cicha była, jak trusia. Ani odmawiała, ani namawiała. Bez męża — prawie się nie widywały. Dziś po raz pierwszy od dawna... Pani Walcia musiała odnieść jakąś małą jego robotę w te strony i wpadła na chwilę.

MARJA KUNCEWICZOWA

PRZYMIERZE Z DZIECKIEM

V.

Drzewa coraz dalej odchodziły od ludzi, cofając się w gąszcz spraw własnych, niepojętych dla śmiertelnego oka.

Na wiosnę były bliskie każdemu, bezbronnie, młodziutkie i do przechodniów wyciągały ramionka pełnie ufności. Po lesie chodziłeś wtedy za pan brat z dębem, czy z małoletnią leszczyną, a przejrzystość sieci złoto — zielonej dawała poczucie bez troski, jak gdyby dęby, ludzie, żmije i zające były rodziną oddanych przyjaciół.

Posuwały się jednak tygodnie i odmieniło słońce porę snu. Skomplikowały się i zgęstniały egzystencje zwierzęce i roślinne.

Drzewa na przechodniów zaczęły spoglądać hardo w poczuciu własnej mocy. Lis nawet — tchórzliwy w kwietniu — teraz pod koniec lata drwiącem oczkiem świdrował z za krzaka utrudzone plecy pana wójta. Nieustępliwość rozsiadła się po miedzach, gęstwinach i gałęziach. Z puchowego chaosu wiosny wyodrębniły się dawno mięsiste jadra i teraz, w blaskach pożogi sierpniowej, twardniały w kształt owoców. Las wzbronił ludziom dostępu, cały się zamknął w orgjach, w tytanicznych jakichś mozołach i w wal-kach krwawych.

Głowę włóczęgi nierzadko były szyszki; pomniejsze stwory leśne wyskakiwały znienacka na intruzów i z bezgłośnym chichotem zapadały znowu w paprocie — syte ludzkiego dreszczu. Liście przybrały pozór blaszek, trawy raniły ręce, a jałowki nastawiały pastuchom rogi miękkie i głupie.

Coś się wszędzie działo między niebem, a spoconą skórą globu; coś się działo w pośpiechu, w bólach, w porannym zgiełku i w zgrozie nocnej. Zawiązywały się istnienia, które nie dojrzeją na ziemi, i sowy czekały księżycowi o zbrodniach, co tratuja haszcze i mącą wodne głębiny.

Teresa tymczasem sunęła wśród szpaleru równiutko strzyżonych godzin, czując, jak za jedną i drugą ścianą jej spokoju za łby się wodzi, szczuje, ujada i tańczy tysiące istnień trawo i mięsożernych, boskich, lub zgoła kannibalskich. Miała przed sobą swoją szafranową ścieżkę i metr kwadratowy wolnego powietrza po lewej i po prawej ręce; nad głową miała Niewiadome, a pod stopami nieustanny dreszcz ziemi.

Była Teresa sama. Niepewna losów, jak mewa, schytana w sieć, zagubiona w prostej alei, niby mrówka na posadzce, i ciągle łakoma jakichś sygnalizacji z obcego świata, któreby nakształt semaforów napełniły czerwienią jej drogę.

Otóż zdarzało się czasami, że w chwili takiej bladej u wylotu ścieżki stawał Jędrus i z drugiego bieguna zdarzeń zbliżał się ku matce.

Szedł zdaleka, z własnego, już zdobytego państwa; szedł, nie spiesząc, malutki, a jednak pan własnych kroków i twórca samowładny malutkich spraw. Nie było go oto godzinę i dwie, wkoło Teresy zdolały narosnąć chłodne fale, i nagle — podobny okrzykowi — w sferę ciszy wpadał malec.

Jakież było wtedy zdumienie i jaki zachwyt matki, że ze świata przychodził do niej jej syn, z z zielonej ściany, z pierścienia upału i wrzasków.

Deptał po skorupach ślimaków i po tysiącnych tułowiach w jaskrawe kropki i pręgi, stąpaniem ranił łodyżki, szamotał się z prętem wikliny, w nieodganioną dziurę chował zdobycze, brał ciągi od wszystkich kamieni wśród drożnych i — wysmiany przez wilgi, obszczekany przez psy sąsiedzkie — przechodził sam ze swemi sińcami, pełen radości.

Teresa zasmakowała w słodczy nagłych spotkań z dzieckiem, któremu już nie zawsze była potrzebna. Stwierdzenie owych początków emancypacji Jędrusia uczyniło go szczególnie drogim młodej pani.

Miedzy nią, a synem zaczynał się klarować „fair play“ gentelmeńskich stosunków — switało dobrowolne przymierze, tak mgliste jeszcze, jak sieć kwitnących jabłoni, jednak wieczne, jak zapach tejże sieci różanej.

I za przyczyną Jędrusiowych łowów w dzikim ostępie między grządką melonów, a płotem z bukszpanu... za przyczyną także Jędrusiowych wtargnięć na ścieżkę i jego zwierzeń. Teresa przebaczyła jakieś tam potędze (jakiemuś dobrodziejowi, czy jakiemuś oprawcy) tę przemoc, która się dokonała na jej woli w pamiętną noc narodzin.

A — co ważniejsze — zdołała Teresa przeboleć i puścić w niepamięć ów szereg miesięcy macierzyńskich zabiegów koło szpetnie obcej istoty, wszczepionej w życie, jak drzazga w ciało.

Pod wpływem kilku spojrzeń syna — wojownika nawiedziło ją nawet przypuszczenie (nieśmiała raczej nadzieja), że jej łono nie było może tą furtką najbardziej przypadkową, przez którą Jędrus dokonał pierwszego wejścia na świat.

Że może w kraju cudacznym, skąd ją samą wywiedli kiedyś rodzice, czyniąc znak jakiś — im samym nieznanym, skrzętnie pochwyconym przez anioła przeznaczeń — że w kraju nieurodzonych ludzi może już żyli ze sobą długie wieczności w porozumieniu obecny Jędrus i obecna Teresa.

Na to jednak, by objawiona została matce ta nadzieja — trzeba było sześciu miesięcy dreptania w jarzmie strzygi i kilkunastu miesięcy kuglarstwa na służbie u marjonetki.

W październiku, kiedy Bóg pokarał drzewa nagością za ich pychę sierpniową, Teresa pod futerałem nurkowego płaszcza odczuła żywo swoją nagocię. Przypomniały się jej i zadrgały biodra, kolana, piersi i skronie. Usta nabiegły ogniem, wywinęte w kapryśny łuk. Muzyka, najpospolitsze uśmiechy, słowa bez treści i książki dawno czytane zakrzyknęły nagle o uściskach.

Na arenę wystąpił mąż w roli gladiatora. Żona spostrzegła, że pan ten ma szerokie ramiona, że jego pieszczoty są bolesne i że można ich mieć dużo. W małżeństwo wsączył się słony strumyczek krwi. Teresa przestała rozumieć, co mówił jej mąż przy stole, a także zaniedbała swoje czepeczki o długich wstążkach. Nie układała się już na noc, jak kokieteryjna nieboszczka do trumny, tylko niespokojna, z rozpuszczonym warkoczem czekała u drzwi.

Zrozumiała urok brzydoty, zuchwałość najniższego poddania, pojęła za co anioł odwróci się zaw-

sze od kobiety i dlaczego zawsze przebaczy jej najlitościwszy Bóg-Chrystus.

Rozkosz skręcała uczucia, jak ogień członki czarownicy, palone na stosie: przeżyły się w męczeńskim tańcu; i wtedy szaleństwo nerwów miało w sobie heroiczny pęd tęsknoty. Zdawało się: jedna jeszcze fala krwi pryśnie wreszcie w tysiączne drzazgi tajemnica — wyłuska się jądro — szczęście. Cel jednak żarliwości pozostawał śliski, rzekłbyś kula szklana; furja ściekała strumieniami po chłodnych ściankach, a jądro tajemnicy zasklepiało się jeszcze mocniej.

Pogoda zstępowała zatem na twarze, ciało wyzute wreszcie z tęsknoty skwapliwie zapadało w bezład. Głupkowate i tępe przewalały się minuty, jak dynie: pokój pełen był inkubów, jaszczurek, aksamitnych jakichś drapiezców i warg nadto mięsistych.

Teresa śniła ciężki sen na jawie i budziła się zeń zrozpaczona, jak mniszka, która w marzeniach uległa księżycowi. Przy łóżku stawał czwartek, czy, poniedziałek i zawieszał nad ścierniskiem pieczęć dwoje oczu z kamienia.

I stało się, że raz — zamiast któregoś czwartku — wkroczył Jędrus z Misiem w objęciach. Zagadał ptaściami słowami; pytał. Nie o wrażenia ubiegłej nocy, oczywiście, ani nawet o to, czemu Mamusia jeszcze nie jadła śniadania. O coś tam pytał śmieszniutkiego.

Od owej chwili żądze — naznaczone krwistymi pręgami wstydu — przywarowały, jak psy obite, a na powierzchni wszystkich nocy Teresy rozlała się oliwa spokoju. Dni zyskały przez to na przejrzystości i na tętnie. Życie znowu błysnęło elegancją, jak salon, z którego wyniesiono łóżka.

W ciągu trzeciej zimy Jędrusiowego istnienia macierzyństwo przestało być dla Teresy „stanem wyjątkowym” — stało się „stanem cywilnym” równie mało kłopotliwym, jak posiadanie dożywotniej renty.

Dziecko wessało się w życie na podobieństwo nowotworu, który zdołano unieszkodliwić.

A zatem niezliczone sprawy skłębione poza domem: ludzie, samochody, polityka, artyzm, zwierzęta i kwiaty — ich kolizje, ich głosy — powlekły się znowu barwą widzialną dla oka.

Zwłaszcza skwapliwie przywołani zostali ludzie. (Samochody były za drogie — jednak ich kwik zdaleka ścigał wesołe myśli o bogactwie. Artyzm, ni to obrażony książę, spacerował po parku, chowając przebaczenie na śmiertelną godzinę kochanki. Polityka wrzeszczała prosto w twarz, ale ziejąc czosnkiem i octem siedmiu złodziei. Zwierzęta nie wszystkie umiały służyć, zaś kwiaty chodziły przeciw za ludźmi, jak pudle).

A więc Teresa sprawiła sobie dużo sukien i pozwalała sercu biegać do drzwi za każdym dzwonkiem w zawody z pokojówką.

Wrócili dawni znajomi, sprowadzając ze sobą nowych. Godziny Jędrusia zwrócono ich dawnemu władcy — fryzjerowi.

Panowie i panie obsiedli co najpiękniejsze krzeselka w domu, obiady straciły własną porę, wieczorom urosły macki, sięgające aż do południa, telefon stał się najważniejszą osobą, a twarz zaczynała być potrzebna dopiero o zmierzchu.

Jeden i drugi mężczyzna oświadczył się Teresie. Nie o miłość zresztą, tylko o „To, co najważniejsze”, o „To, za co biją po twarzy”. Tańczono. W łazienkach fauny pochowały nogi pod czapice ze śniegu. Pocałunki marzły na wargach; tajały do-

pierotw w cieple balu i słodką rosą opływały niektóre tańce.

Kiedy Jędrus we snach witał letnią swoją przyjaciółkę — krowę Zazulę, jego matka najżyczliwszym uśmiechem witała „swoją” stolik w dancingu.

Zapamiętali ją i obdarzyli sympatią kelnerzy, woźnice, portjerzy i wodzireje. Nauczycielka ludowa w brzydkiej wsi daleko od kolei i pomocnik buchaltera w związku rzeźników zaliczyli jej nazwisko do tych słówek ślicznych, pachnących, jak tuberozy, słówek, które w „Kurjerze” oznaczają przepych, nieosiągalną jakąś rozkosz i piękno z za siedmiu rzek.

Teresa zaczęła miewać migreny, a jej smak pogłębił się o całą skalę, sięgając finezyj niemal galijskich.

Przez cały ten czas nie parała się wcale myśleniem. Jednak konstatacje i oceny nieprzerwaną strugą wyciekały z pod stempla świadomości i nasycaly źródło, bijące w duszy. Niezbadane były loty wrażeń i dziwne lądowania.

I tak: po wieczorze, spędzonym w dziesiątkach uścisków tanecznych, przegadanych mową kolibrów — Teresa zasypiała, mając w mózgu objawiony po raz pierwszy obraz zadziwiająco jasny wszechświata.

Innym razem, wśród gorączki „przymierzań” ze lśnienia „charmeuse’y” wywiązywały się nagle niezbite prawdy społeczne. Nazwy, które do niedawna fruwały na szeleszczących skrzydłach intuicji, nabierały wagi kamieni.

Ustalały się dystanse, migotliwa ruchawka pojęć stygła w kształt dogmatu. Jednocześnie kształciła się Teresa na podziw sprytnie w sztuce żonglowania maskami. Ludzi brutalnych umiała już ubierać w koronkowe maleńkie maseczki, a filigranowych wrażliwców stroiła w barwy ponure, które z nich robiły brytanów.

Gdy tak działała i nieustannie poddawała się działaniu zdarzeń — w głębi przechodził Jędrus, spleciony rączkami z Jankiem i z Hanusią. Zdążył pozawierać przyjaźnie. Nie chadzał już na zwierza w pojedynkę — miał towarzyszy. Poczynał sobie roztropnie, ze stanowczością i z wdziękiem. Słychać było często jego głosik, oparty na jakiejś nucie majorowej bardzo trafnej.

W mieście tańczono, bo karnawał był długi i waluta poszła w górę, a majonezy staniały. Do Teresy przyczepił się pan... Siaki taki. Czarny, długi, pięknie ubrany.

Przyczepił się, jak maskota, jak strofka „Titiny”. Teresa przywykła, że pan jest z nią wszędzie. Wkładając suknię halową, wkładała z nią razem maskotę. Wśród zajęć jak najmniej rytmicznych pan wyskakiwał z przestrzeni, rzekłbyś uprzykszona melodyjka. Kiedyś siedział na dywanie i Teresa patrzyła w jego oczy.

Poczuła, że cudze dłonie ujmują jej kostki nad stopami. To nie było straszne. Ale zaraz potem pan powiedział: „kocham”, a Teresa ciągle jeszcze widziała jego oczy.

Otoż to dopiero było straszne.

W oczach pana coś mętnego i śliskiego mówiło najwyraźniej: „Nienawidzę; zaraz cię ugryzę za trutemi zębami i umrzesz z tej rany. Pogardzam; zaraz cię pocałuję i jak dłoń uderzy ten pocałunek. Żebrze; zaraz wyciągnę ramiona i smrodliwa woń łachmanów otoczy twoją głowę”.

W ustach pana trzepotało się słowo „kocham” niby ptak złapany w potrzask, a wkoło nóg siedzącej pełzały ręce, podobne dwu padalcom.

Teresa z krzykiem wypadła z pokoju.

Niesłuchanie clikie i obmierzłe nastąpiły dni. Dni o krostowatych twarzach.

Teresa pływala we wstręcie. Nawet kwiaty patrzyły na nią krzywo.

Z dna pamięci wypłynęły jakieś robaczki i odgryzały wszystkie myśli, póki nie zostało śmiecie.

Zdarzenie zdawało się być ponad winę i ponad zasługę.

Jędrus właśnie wtedy przechodził fazę klocków. Przycupnięty wśród rumowiska czerwonych i białych cegiełek — tworzył.

Tłusta łapka krążyła z namysłem nad stosami materiału.

Nagle spadała na upatrzony obiekt i czym prędzej wracała z łupem do „wieży“, której kadłub nieco przy ciężki mozolnie dźwigał się od ziemi.

Czoło Jędrusia w godzinach budowania nie mniej wyrażało powagi, niż ongi oblicze Leonarda, schylone nad projektem latawca.

Zastała tak synka Teresa któregoś popołudnia. Stała za nim smutna, patrząc, jak wznosi swój piękny zamek.

Żeby okazać uprzejmość chłopczykowi, spytała: „Co to budujesz, Jędrusiu?“

Malec podniósł główkę i żywo zagadał:

„Dla ciebie przecież zawsze buduję domek, Musio.“

Więc Teresa, nie zwlekając ani chwili, okryła swoje zgryzoty pogodą, jak welonem — i weszła do domku syna na wieczne zamieszkanie.

K O N I E C

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

23

Châlons poddało się dobrowolnie, wysyłając nawet deputację hołdowniczą naprzeciw króla. 15-go lipca weszła armja w jego mury. Czekala tam Joannę rozrzewniającą niespodzianka: pięciu wieśniaków z Domrémy wybrała się aż tu, aby ujrzeć dawną sąsiadkę w blasku dzisiejszej sławy. Być może, że oniemieli z podziwu*), widząc, jaki pietyzm religijny, jakie hołdy i świetności otaczają ją teraz. Lecz powitani przez nią z serdeczną prostotą, ośmielili się wkrótce. Na zapytanie jednego z nich, czy nie odczuwa żadnej trwogi wśród tylu niebezpieczeństw, odrzekła poważnie:

— Nie strach mi niczego, okrom zdrady! Świeże wspomnienia rodzinnego kąta nie cslały ani trochę energii dziewczyny. Ona to jest duchem, co pędzi naprzód armję i króla, bez chwili niepotrzebnej zwłoki, ku upragnionemu celowi.

To też nazajutrz poselstwo, z kluczami koronacyjnego grodu, spotyka cały orszak już w drodze, a wieczorem tegoż dnia król, z Dziewicą u boku, odbywa uroczysty wjazd do Reims. Przez całą noc wre miasto gorączką przygotowań — tak że jasny poranek niedzielny, 17-go lipca, zastaje stare mury przystrojone godnie.

Tuż po wschodzie słońca marszałek de Bousac, admirał de Culant, oraz panowie de Graville i de Rais udali się konno, wedle ceremonjału, do opactwa św. Remigjusza. Tam opat, w paradnej kapie, wyszedł do nich pod baldachimem i we wrotach kościoła oddał uroczyste arcybiskupowi najdroższą może relikwię Francji: ampulkę ze świętym olejem, przed wiekami pono z nieba przyniesioną przez tajemniczego gołębia świętemu Remigjuszowi, aby pomazał Klodwiga na pierwszego króla tej ziemi. Teraz procesja skierowała się do katedry, gdzie oczekiwało zgromadzone rycerstwo i rzesze ludu.

Obecni książęta, możni wasale i prałaci, w strojach bogatych, reprezentowali dwunastu „parów“ Francji; pan d'Albret, w zastępstwie konetabla, piasłował olbrzymi miecz. Tuż przy stopniach ołtarza, najbliżej króla, stała Dziewica, w pozłocistej szacie na białej zbroi, ze swym sztandarem w ręku, ze

wzrokiem utkwionym w niebo, poprzez kolorową bajkę witraży. Nie wiedziała może, że z natłoczonej kościelnej nawy patrzyły na nią nabożnie olśniewające oczy ojca...

Gdy na skronie wątłego młodzieńca, pomazane już świętym olejem, wkładano koronę — zagrzmiwały triumfalne surmy trąb, powtórzone przez gotyckie sklepienia — rozpętała się w wielkiej katedrze i poza nią, na ulicach, ogromny krzyk z tysięcy piersi: „Noël! Noël! **). A Joanna, zalana łzami szczęścia, upadła do nóg królowi, wołając:

— Miłościwy królu, spełnione oto, co się Bogu podobało! On to chciał, iżbym odegnała Angielczyków precz od Orleanu i zawiiodła was do onego grodu Reims, przyjąć wasze godne święcenia, a okazać, iżescie prawym panem, któremu jest powinna wszystka Francja!

Całe pięć godzin trwały tradycyjne obrzędy, król, otoczony ciżbą nieprzejrzaną, witany burzą okrzyków, objeżdżał ulice w swym koronacyjnym stroju. Wieczorem kazał sobie przywołać Jakóba d'Arc i rozmawiał z nim łaskawie; podarował mu też konia i 60 liwów złota.

U stóp królewskich i ojcowych, w ów ciepły wieczór letni, zaznała Joanna podwójnego i najwyższego szczęścia w życiu.

Na wieżach wszystkich świątyń tego kraju bije w ów dzień triumfalnie jej własne rozkołysane serce — największe serce, jakie wydała Francja!

Tu zenit. O lipcowej porze, gdy padają pod sierpami zboża dojrzałe — zebrała Dziewa swoje żniwo obfite. Nie każde pokolenie ludzkie dokonać zdoła tyle, ile ona dokonała w ciągu pięciu miesięcy...

Od owej pory linja wzlotu tej orlicy - gołąbki poczyną opadać wyraźnie. Nie dlatego chyba, by skrzydła jej osłabły — lecz opór atmosfery wzrasta niepomniernie, zgęszcza się, w której się porusza dookoła niej nagle reakcja różnych obrażonych ambi-

*) Jak sądzi H. Débout.

**) Stary, ludowy okrzyk radości.

cyj, zagrożonych interesów, wyrachowań osobistych, małoduszności wszelkiej...

U dworu poczyną się już ferment fakcyj, zatruwanych o swe wpływy; skryta, a mocna płata nina intryg oplata lotne stopy Joanny coraz ciśnie, przy każdym kroku.

Szary tłum, wierny jej zawsze, lecz bierny i nieudolny, patrzy ze zdumieniem na swą wybawicielkę, szamocącą się w niewidzialnej sieci. „Ludzie się męczą tym nadludzkim trybem”^{*)}, słabość ich, unoszona dotąd nadnaturalną mocą genjuszu, mści się teraz, ciągnąc go wdół, przez samą bezwładność swoją, wprost ku przepaści. (c. d. n.)

^{*)} G. Hanotaux.

TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO

W ogromnej księdze życia, księdze natury, w której ostatnim, najdoskonalszym rozdziałem jest człowiek, ale do którego prowadziły wszystkie poprzednie rozdziały, w tej cudownej, przepięknej w swej tajemniczości i bogactwie szczegółów księdze, tej skarbnicy wiedzy i zrozumienia u nas, w Polsce, najmniej się czyta. U nas widzi się tylko człowieka. Polscy badacze przyrody robią przeważnie te doświadczenia, które mogą doprowadzić do odkryć, mogących się przydać ludzkości; przyroda i zwierzęta, cuda natury i ich tajemniczość same dla siebie i przez siebie, niestety, mało kogo u nas z ludzi nauki poważnie interesują. Niema w nas widać głębokiego ukochania przyrody, nie czujemy się i my jej dziećmi, wszystkimi sokami żywotnymi z nią zrośniętymi, z niej, z jej wspólnego pnia wyrosłymi.

Jest to bezwzględnie nie tylko ogromne zacieśnienie horyzontów myślowych, ale przepada dla nas, jak dla niewidomych, całe olbrzymie pole widzenia, całe tereny badań, obserwacji i dociekań, niesłychane bogactwo zdobyczy naukowych, prowadzących jednak do tem jaśniejszego zrozumienia, czem jest człowiek, jego przyroda, życie fizyczne i duchowe, życie gromadne i społeczne. Wspiąwszy się na najwyższy szczybel na drabinie istnień, jakże może człowiek nie patrzeć wdół na poniżej niego będące szczeble i wspinające się po nich istnienia i nie myśleć, że to są właśnie drogi, które wiodły do niego; że ciągle, uważne rozstrząsanie tamtych etapów rozwojowych bodaj na niego samego głębsze i jaśniejsze rzuci światło i że wiele tajemników z życia gromady ludzkiej byłoby nam zrozumialszych, gdybyśmy się w księgę przyrody głębiej wczytywali. Skupianie myśli i wszelkich wysiłków li tylko na człowieku jest nie tylko ciasne, ale i temuż człowiekowi nawet szkodliwe; jest wielką dla ludzkości stratą, co nie jest określeniem paradoksalnym, co zrozumie jasno każdy myślący i umięjący paralele przeprowadzać człowiek, po zagłębieniu się i odkryciu pewnych bodaj tajemników z życia rozróżnionego otaczających nas istot. Jesteśmy na wielu, bardzo wielu punktach wstecz od innych narodów i na tym, najważniejszym, czytania w księdze przyrody również. Wybitne umysły ludzkie od kolebki świata, aż do dziś, tajemnikom przyrody i zagadnieniom rozwoju psychiki zwierzęcej życie swe poświęcały. Wiekopomne dzieła przyrodniczo-filozoficzne potentatów myśli i nauki ludzkości o tem nam mówią. Życie otaczających nas istot, ich fizjologia, życie wewnętrzne,

gromadne, społeczne i duchowe; bo świat zwierzęcy je również w wysokim stopniu posiada, to niewyczerpane tereny badań dla uczonych, niestety, nie polskich. Dzieł przyrodniczych polskich, dzieł, obnażających nam życie otaczających nas istot i zbliżających nas do nich, prawie nie mamy, podczas gdy inne narody, zaczawszy od filozofów starożytnych, jak ojciec wszechwiedzy, Arystoteles, poprzez wszystkie wieki rozwoju nauki ludzkości mają całe zastępy uczonych, badaczy, w księdze natury zagłębiowych i odcyfrowujących jej tajemniki, wiersz za wierszem.

Zoopsychologia, nauka o psychice zwierząt, to już dział nauki przez katedry uniwersyteckie objęty — u innych narodów — u nas, w Polsce, nawet pod uwagę nie brany! Prof. psychologii Wilhelm Wundt już koło 1890 r. wykladał na uniwersytecie w Lipsku o „Duszy ludzi i zwierząt” i pod tym to tytułem „Vorlesungen über die Menschen und Thierseele” zostały te jego wykłady wydane w ciekawem tomowem dziele, na różne języki tłumaczonym. U nas niestety, nie tylko nikt nie odważyłby się na uniwersytecie wykladać psychologii zwierząt, ale ogół nasz bardzo mało interesuje się już nie tylko kwestią tak zawiłą jak zoopsychologia, ale samem życiem zwierząt i ich obyczajami. Tajniki tego życia, badane przez uczonych świata, są ogółowi niestety obce, nieznane, dalekie! A jednak, ileż zagadnień, dręczących umysł ludzki, dałoby się może tam właśnie, wśród owych tajemników życia przyrody, rozwiązać, kto wie, czy nieśmiertelne zagadnienie o „nieśmiertelności duszy ludzkiej” nie tam jedynie znalazłoby odpowiedź?! Ujawszy bowiem ludzkość na jej najniższym szczeblu rozwoju intelektualnego, od szczepów najdzikszych, nainiżej rozwiniętych, postawmy sobie pytanie, czyż to tam właśnie, wśród nich jest początek, tam tkwi korzeń duszy „psychy” ludzkiej?!

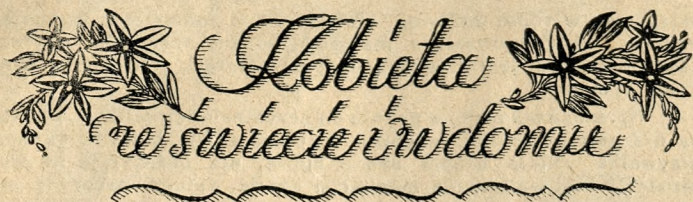
Wielka księga natury jedynie może nam tu dać odpowiedź. Wczytajmy się tylko w nią uważnie, wiersz za wierszem, karta za kartą. Przez labirynt wielkich zagadnień bytu jak nitka z kłębka Arjady powiedzie nas ona po drabinie istnień i ich rozwoju nie tylko fizjologicznego, ale i psychicznego aż do człowieka. Jak na przedziwnej kanwie ujrzymy tam tkane cudownymi wzorami, zarysy budzącej się psychiki, w miarę organizowania się materji coraz silniejsze organizacje psychiczne, zarysy i rozwój stopniowy wszelkich uczuć, jak rodzinnych, towarzyskich, społecznych, zaczątki przemysłu. Tam, na tej przedziwnej tkaninie ujrzymy wzory bogate tego, do czego doszła korona istnień — ludzkość! Tam jedynie odcyfrować by można, jaka to droga wiodła na te szczyty, na których już dziś stoimy; tam może ujrzymy zarysy nikłe tych, na które się jeszcze wspinać będziemy.

Tak, jak pierwiastek materji z jednej pojedynczej komórki w prabycie, indywidualizując się, poprzez różne etapy rozwojowe doszedł poprzez miliony lat do tego, czem jest obecny skończony człowiek, tak i pierwiastek duchowy tam poczęty, wspinał się wolno po szczytach milionów przeobrażeń istnień, aż zakwitł całą pełnią w ludzkości: stał się tem, czem jest dzisiejsza dusza ludzka.

To nie znaczy przecież, aby obecny skończony człowiek był kiedyś zwierzęciem i stał na jego stopniu rozwoju. Człowiek był już zawsze tylko człowiekiem tak, jak słodki owoc na drzewie nie był nigdy gorzkim, trującym nierzaz korzeniem drzewa, na którym się rozwinął, a z którego toż drzewo jednak jedynie wyrosło.

(c. d. n.)

Janina Maszewska - Knappe



ADWOKATKI W GRECJI.

Komisja parlamentarna prawna w Grecji przyjęła ustawę, mocą której kobiety, kończące wydział prawny uniwersytetu, po spełnieniu zwykłych, przepisanych prawem warunków, będą mogły być zaliczone w poczet adwokatów i praktykować narówni z mężczyznami.

Pierwszą adwokatką, która skorzystała z tego prawa, jest pani Marja Chrisoelu. Występowała ona przed kilku tygodniami po raz pierwszy jako obrończyni przed sądem okręgowym w Atenach, a przemówienie jej wzbudziło wielki entuzjazm i zjednało jej szczerze powinszowania kolegów.

KONKURS MASZYNISTEK.

W Paryżu odbył się konkurs maszynistek, na którym pierwszą nagrodę otrzymała pani Piot, która w przeciągu jednej godziny zdążyła napisać 35190 liter, popełniając przytem zaledwie 111 bardzo nieznacznych omyłek. Tekst dyktanda był nieznanym przedtem nikomu z biorących udział w konkursie, pomimo to jednak pani Piot zdążyła napisać 94 wyrazy na minutę, czyli, jak wyliczyli sędziowie, pisała na maszynie z szybkością piętnastu uderzeń na sekundę. Takiej szybkości nie osiągnięto jeszcze na żadnym konkursie. Pomiedzy współzawodniczkami pani Piot znajdowało się także kilkunastu mężczyzn, żaden z nich jednak nie przekroczył najbardziej precyzyjnej normy szybkiego pisania na maszynie. Doświadczenie wykazuje, że kobiety odznaczają się zdolnością do daleko szybszych i lepiej skoordynowanych ruchów, niż mężczyźni, i tem należy tłumaczyć olbrzymią przewagę kobiet w zawodzie steno — i typograficznym.

ROLA MATKI W PRZYSŁOWIACH RÓŻNYCH NARODÓW.

Jedno z pism kobiecych włoskich zadało sobie trud iście olbrzymie zebrania wszystkich przysłów ludowych, używanych w większości narodów wszystkich części świata. Z zestawienia tego wybieramy przysłowia najciekawsze, lub najbardziej charakterystyczne.

Włosi mają moc przysłów o matce, najczęściej jednak mówią oni: „matka i męczennica — to jedno, ale każda matka chętnie zniesie wszystkie męki dla dobra swych dzieci.“ „O matko, matko! kto cię posiada, ten woła cię bezustanku — kto ciebie stracił, ten stracił wszystko w życiu“. „Lepiej jest stracić najbogatszego ojca, niż najbiedniejszą matkę“.

W Niemczech twierdzą, że „jedna matka wychowa siedmioro dzieci, ale siedmioro dzieci nie potrafi utrzymać jednej matki“. Czesi mówią: „Ręka matki głaszcze zawsze, nawet wtedy, kiedy karze“. U Rosjan spotykamy się z przysłowiem: „Modlitwa matki otrzyma od Boga wszystko, o co prosi, choćby miała to wydostać z przepaści, lub dna morskiego“. „Bez matki dzieci są tak samo zgubione, jak pszczoły bez królowej ula“. „Miłość matki jest tak szeroka,

jak ziemia, tak głęboka, jak morze, i tak wysoka, jak niebo“.

Rzeczne przysłowie indyjskie głosi: „Choćby matka była tak biedną, że chodziłaby nago i umierała z głodu, znajdzie jeszcze zawsze czem swoje dziecko przykryć i nakarmić“. „Matko moja, jesteś mi zawsze matką — czyś biedna, czy bogata“.

A oto jeszcze garść innych przysłów, znanych także i u nas: „Małe dzieci depczą matce po fartuchu, a dorosłe — po sercu“. „Kto nie słucha matki za młodu, usłucha kiedyś dozorczy więziennego“. „Miłość matki codziennie wydaje się większą“.

KOBIETY — ATLETKI.

Wiadomem jest, że amerykanki garną się dziś do wszystkich zawodów, nie chcąc ustępować w niczem mężczyznom. W jednym z miast Stanów Zjednoczonych zawiązało się ostatnimi czasy nowe stowarzyszenie zawodowe kobiece pod nazwą „Związek kobiet atletek“. Celem tego stowarzyszenia jest wyrugować zupełnie mężczyzn z dziedziny nauczania kobiet gimnastyki i ćwiczeń atletycznych, oraz bokserkich. Training atletyczny i bokserki kobiet ma odtąd tylko spoczywać w rękach niewieścich. Ponadto inicjatorom Związku chodzi jeszcze o przygotowanie kadr atletek dla występów publicznych. Na zjeździe tego stowarzyszenia postanowiono, że kobiety atletki powinny odtąd nadzorować treningi kobiet, ćwiczących się w atletyce, oraz asystować przy wszystkich zawodach sportowych kobiecych, gdyż tylko kobieta może należycie ocenić wysiłek mięśniowy, do jakiego jest zdolna inna kobieta, a w ten sposób zapobiec wyzyskowi popisujących się zawodowo atletek przedsięwzięciom cyrkowych.

NIE BĘDZIE BRZYDKICH KOBIET.

Związek właścicieli zakładów kosmetycznych i fryzjerskich w Stanach Zjednoczonych ogłosił statystykę, na mocy której pozwala sobie wnioskować, że w niedługim czasie nie będzie wcale kobiet brzydkich w Ameryce.

Oto przesłanki, na których opiera się to twierdzenie:

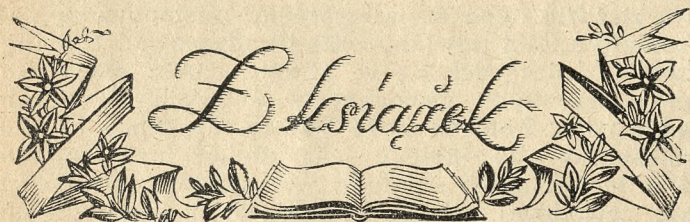
W roku 1926 Stany Zjednoczone liczą trzy razy więcej pięknych kobiet, niż w roku 1915. Przyczyną tego jest olbrzymie rozpowszechnienie się instytucji piękności i wszelkiego rodzaju zakładów fryzjersko-kosmetycznych. Stwierdzono na podstawie statystyki, że zakładów takich istnieje w samych tylko większych miastach amerykańskich zgórą trzydzieści tysięcy, zatrudniają one około stu siedemdziesięciu tysięcy pracowników, w roku zaś 1925 korzystało z porad tych zakładów przeszło sześćdziesiąt milionów klientek!

Artyści kalotechniczni twierdzą, że piękność jest w bardzo małym tylko stopniu darem wrodzonym — przeważnie daje się ona osiągnąć zapomocą fachowych zabiegów leczniczo-upiększających. „Niema tak brzydkiej kobiety na świecie, którąby zapomocą starań, dobrej woli, czasu i... pieniędzy nie udało się przerobić na piękną!“ — oto ich hasło. Ponieważ zaś coraz więcej kobiet w Stanach Zjednoczonych garnie się do owych zakładów kosmetycznych, pielęgnując swą urodę w sposób racjonalny, przeto w samej rzeczy przypuścić można, że Ameryka nie będzie miała niedługo wcale kobiet naprawdę brzydkich — będą w niej tylko kobiety piękniejsze i... mniej piękne.

„SZKIELET NA DWÓCH PISZCZELACH“

Francuzi, pono, słyną z kurtuazji dla płci pięknej. A jednak jeden ze znanych publicystów francuskich, p. Maurycy de Waleffe, nie szczędzi gorzkich wymówek i niepochlebnych uwag kobiecie dzisiejszej, nie przypominającej w niczem, zdaniem jego pięknych i pełnych wdzięku postaci dawnych niewiast. W słowach pełnych goryczy stwierdza on, że moda pozbawiła kobietę nowoczesną wszystkich jej wdzięków, począwszy od naturalnej, okrągłej i miękkiej linii ciała, a kończąc na jedwabistym warkoczu, tak cennej ozdobie naszych prababek. „Dziś — skarży się boleśnie — dzięki makabrystycznym pomysłom krawców paryskich, dążących gwałtem do odebrania kobiecie wszelkich cech zewnętrznych kobiecości, wszystkie, bez wyjątku, francuzki przybrały postać szkieletów, okrytych zawieszonym na kościstych ramionach całunem i wspartych na dwóch cienkich piszczelach. Brrr... Doprawdy, widok naszych dancigów i sal balowych przypomina mi nieodparcie arcydzieło Holbeina, nigdzie bowiem nie znalazłby wielki mistrz tyle naturalistycznych modeli do swego „Tańca śmierci“, niż w nowoczesnym Paryżu.“

Z. B.



Z. Jan Żyznowski — „Z podglebia“ wydał Inst. Wydawn. Biblioteka Polska, Warszawa 1925.

Zarówno tytuł, jak jeszcze bardziej osoba autora sprawiają, że do książki tej przystępuje się z pewnym dreszczkiem ciekawości i jakiegoś nieokreślonego lęku. Owo „Z podglebia“ wyziera ku nam szarem spojrzaniem najgłębszych warstw ziemistych, odzywa się bezdźwięcznym głosem współbudzącej się podświadomości.

Ie ledwie dosłyszalne, prawie nieuchwytne odgłosy życia utajonego w najbardziej wewnętrznych złożach podświadomości stanowią istotną treść tej książki. Tragiczne przejścia trojga ludzi, sprzęgniętych dławiącym uściskiem cierpienia i miłości, są niby tą szarą glebą, z której, jak mimoza, wyrastają prześubtelne czucia, by wreszcie w całopalnym ogniu samozaparcia dusze wybielały aż do jasności glorii męczeńskiej. Jest ich troje. Różni kulturą i pozycją społeczną, lecz zrównani dźwiganieciem ponad siły nieszczęsnego losu. Bogaty ziemianin, suchotnik, równie konający, prostytutka, kochająca udręką serca i najczystsze miłowanie, i kochanek jej, morderca, później żołnierz — bohater, oto są oni ludzie tragiczni.

Każdemu z nich można poświęcić całe studium psychoanalityczne. Trzeba było niezwykłego artyzmu, aby z tych mrocznych ludzkich przygnębień wydobyć treść tak bardzo interesującą i fascynującą. Jest to już dziełem wielkiego talentu Żyznowskiego, że w książce jego zaciekawia nie tylko psychika bohaterów, przedziwny stosunek do otaczających przedmiotów, sytuacje i obrazy, ale niemal każde słowo ma w sobie coś przykuwającego, wyczuwa się w niem ważkość i niemożliwość zastąpienia innem. Twierdzą niektórzy, iż „Z podglebia“ pisane jest bardzo „po żeromsku“, tak, nie można zaprzeczyć, że język Żyznow-

skiego ma w sobie dużo ze słownictwa Ż-romskiego, niemniej jednak styl Żyznowskiego ma swój własny oryginalny wyraz. Jakże ciekawym jest stosunek do przedmiotów, które żyją własnym życiem.

Np. stosunek mebli w pokoju do przyniesionej walizy: „Łóżko, by nie patrzeć na nią, wlepiło wzrok w sufit, biała blaszana umywalka wołała utopić oko w kubie, niż położyć je na wynioślej piersi walizy, nie mówiąc o szafie, dającej bacznie na swą sąsiadkę od wewnątrz przez szparę. Nawet stół gapił się wołowemi oczami z wypukłości swych toczonych nóg...“ i t. d. Trudno wyliczać wszystkie sceny o silnem napięciu, jedna od drugiej zda się być bardziej wstrząsająca, ale może najwięcej niesamowitej grozy ma w sobie moment, gdy kaleka, Witan, nie-ludzkim współczuciem wiedziony, jedyną mocną rękę zaciska na krtani nie mogącego umrzeć suchotnika.

Cudowna sztuka, z jaką autor ujawnia najsztudniejszą poruszenia ludzkiej psyche, sprawia, że „Z podglebia“ należy do tych książek, których nie można nie znać.

S.



TEATR NARODOWY:

„Burza“ Szekspira. Przekład Barbary Zan; reżyserja Stefana Jaracza.

„Burza“ jest jednym z najdojrzałych dzieł Szekspira. Tak jak „Hamlet“ jest kwintesencją ludzkiego odczuwania i życia, tak jest „Burza“ kwintesencją baśni, tego drugiego żywota ludzkiego, którym tak bardzo zajmował się Freud. Komizm i liryzm podniesiony do abstrakcyjnych potęg Platonów, zarówno jak podłość i szlachetność, są elementami podstawowymi tej cudownej baśni, jak zresztą każdej innej.

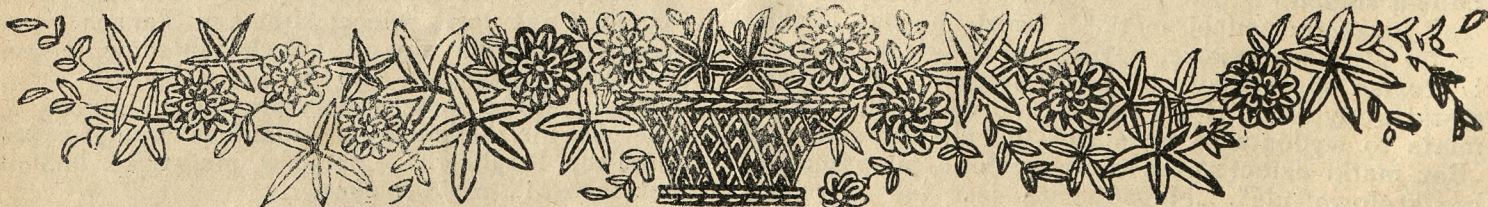
Na wyspie, na której króluje czarnoksiężnik — król Prospero — dzieje się nic innego, niż się dzieje w życiu zwykłym. Jest to jedynie wtargnięcie pod amalgamat lustra i zobaczenie rzeczy, jakie są „w środku“, jak je widzi dziecko. Oto bajka. Odgadnięcie tajemnicy tego, co jest w pudełku, kiedy jest zamknięte, jest największą pracą mózgu dzieciennych. Starsi zapominają o tem, Szekspir znów im tę tajemnicę przypominał.

W Teatrze Narodowym wystawiono „Burzę“ w nowym, pięknym, acz może zbyt literackim przekładzie Barbary Zan. Tuż tego teatru, nienawykłe do logiki wiersza, kaleczyły go często i zacierały sens. Sądję, że przekład pani Zan w połączeniu z Paszkowskim dopiero da stop cudowny, dzwoniący dźwiękiem spiżu i srebra.

Reżyserował „Burzę“ najbardziej wnikliwy z artystów polskich, p. Stefan Jaracz. Stworzył on w roli własnej Kalibana arcydzieło, ale nie mógł w żaden sposób ożywić dla nowej sztuki — bo taką miała być „Burza“ — zasłużonych senjorów sceny polskiej; którym zaiste nie pozostało nic innego, jak granie starego francuskiego repertuaru, albo... pójście do emerytury. Bóg mi świadkiem, że chciałabym coś dobrego powiedzieć o wysiłkach p. W. Drabika. Tym razem jednak muszę stwierdzić, że dał on folę swojej lewej ręce, nie pamiętając o prawej. Wystawienie „Burzy“ pod względem dekoracyjnym stało na poziomie najslabszych dzieł naszego najznakomitszego dekoratora.

Prócz pana Jaracza jeszcze panie Brydzińska, Niedzielska i Halska dały interesujące kreacje. Zwłaszcza p. Brydzińska. Z panów podobno dobrze mówił wiersz p. Śliwicki. Przynać mogę tylko, że go dobrze akcentował. Aktor, który nie umie wymawiać „ś“ i „ć“, nie może być wzorem wymowy na scenie. Banaly muzyczne p. Adamusa są powszechnie znane. Szekspirovi nie szkodzą, ale nie mogą mu w niczem pomóc.

Z. P.

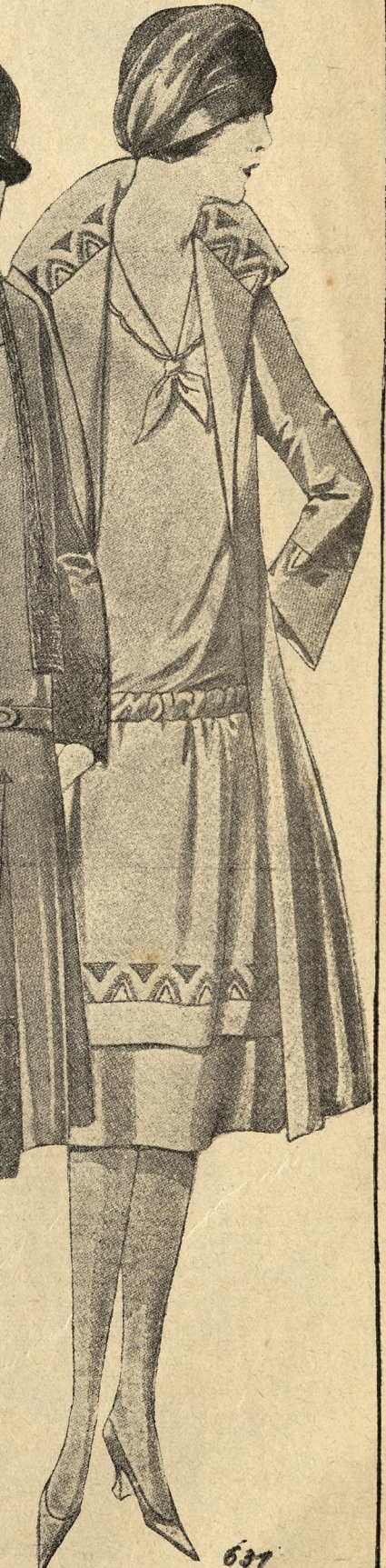
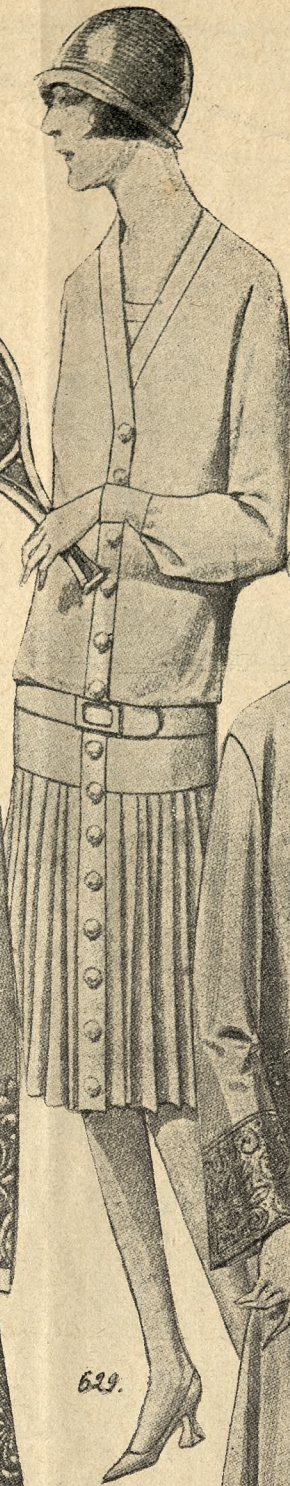




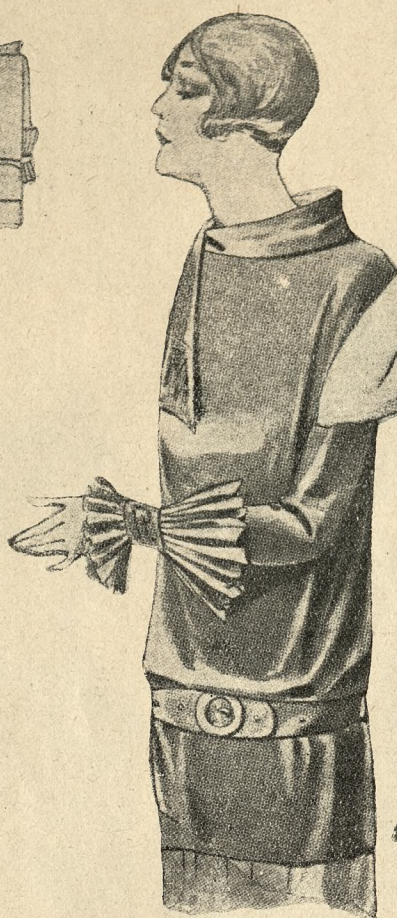
624.

625.

626.







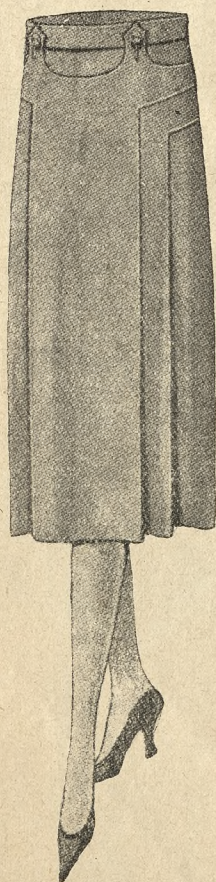
637



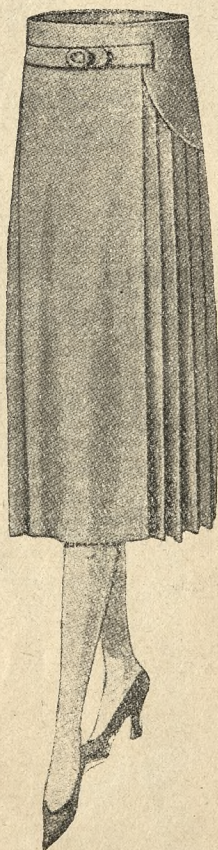
638.



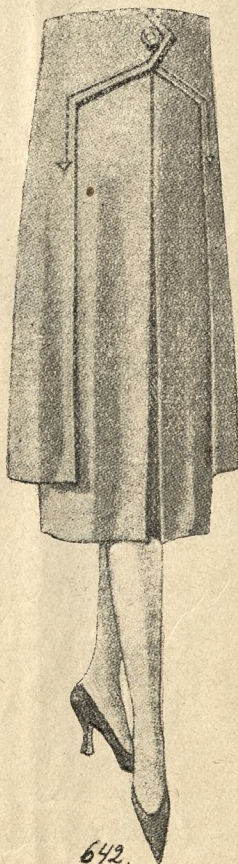
639.



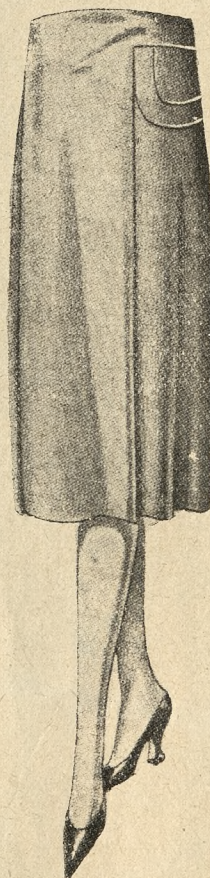
640.



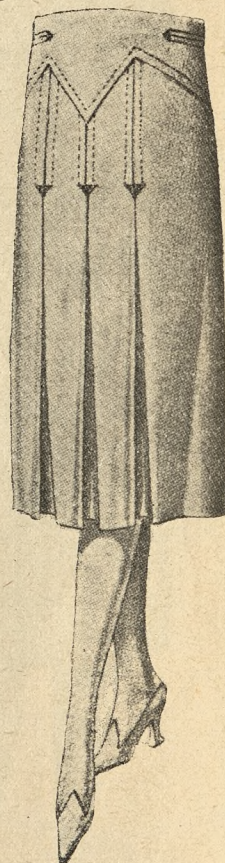
641.



642.



643.



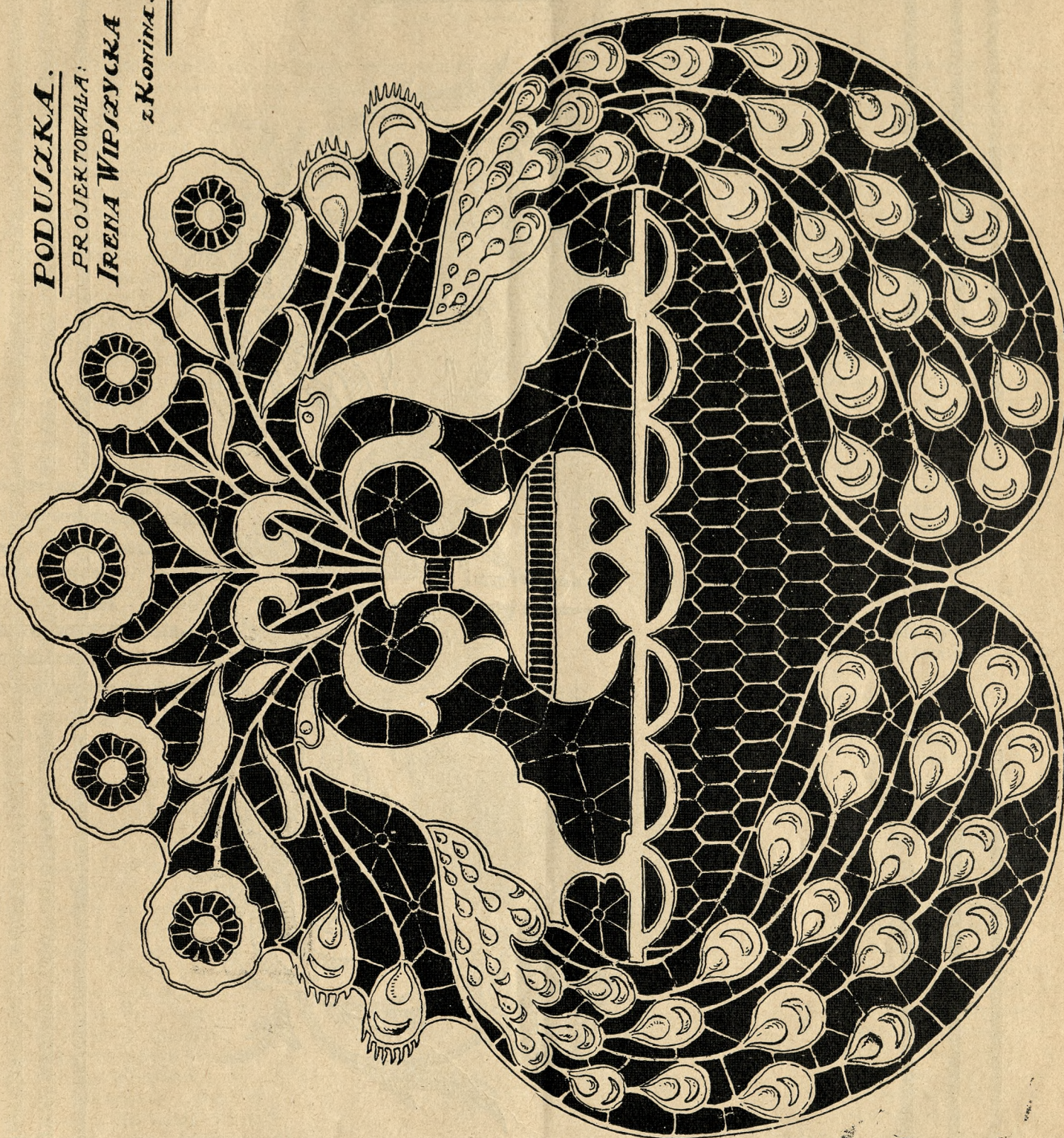
644.

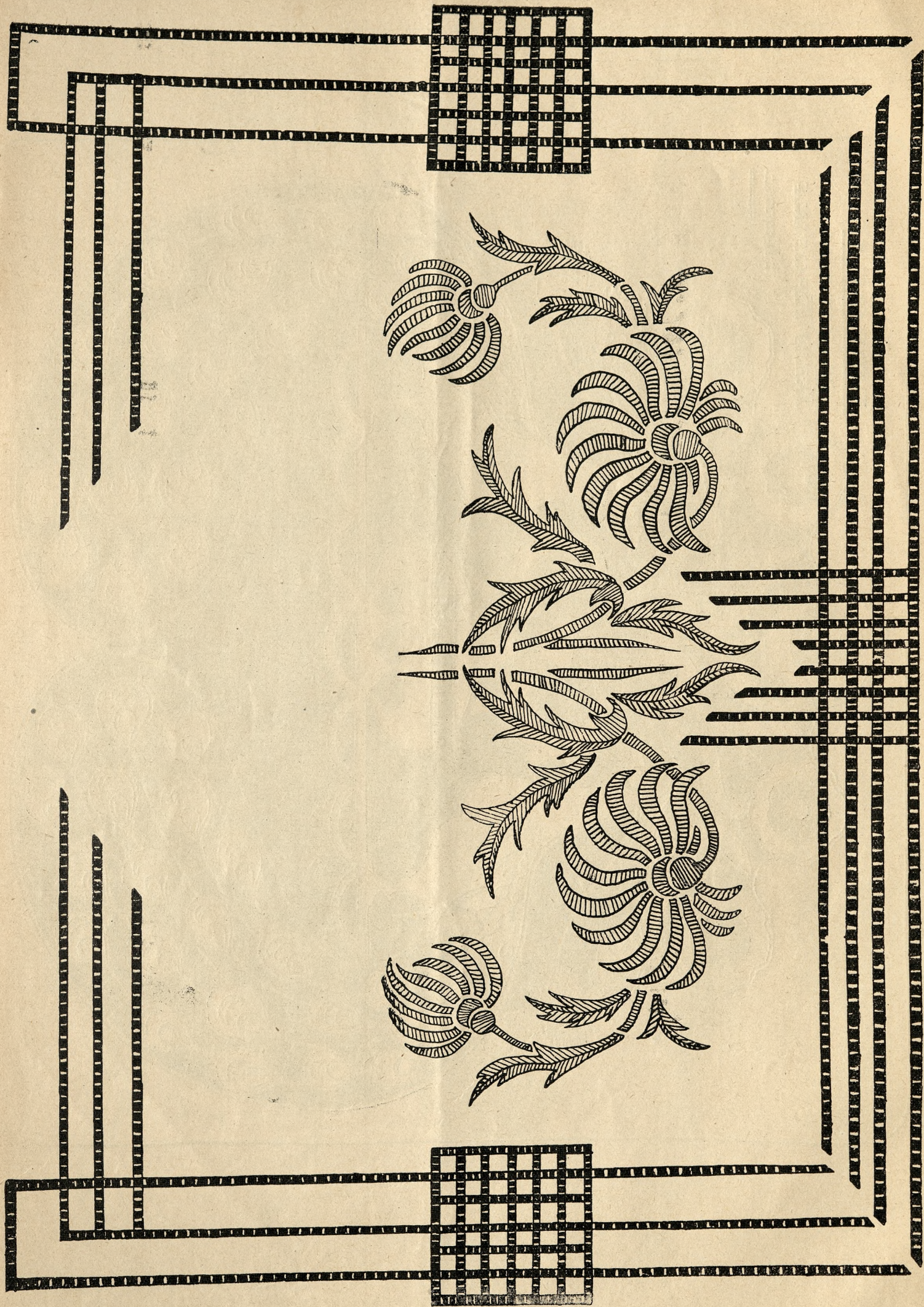
PODUSZKA.

PROJEKTOWAŁA:

IRENA WIPSZYCKA

z Korina.





KAPELUSZE Z RAFJI

Przy blasku światła słonecznego najpożądańsze są kolory jasne i wesołe, które szczęśliwie wprowadziła moda, w obecnym sezonie. Jak dobrać kapelusz odpowiedni do każdej sukni, czym zastąpić delikatne i kosztowne słomki niezbędne do wykończenia wykwiintnej toalety. Oto trudne zadanie, nad rozwiązaniem którego biedzi się niejedna piękna Pani, chcąc być modną, a w zgodzie z kieszonką. Podaję tu sposób, aby z trochę zręczności, cierpliwości i minimalnym wydatkiem urzeczywistnić napozór niedostępne marzenie posiadania kapelusza lekkiego, ażurowego, stosownego do każdej toalety, wykonanego własnoręcznie i podług własnego gustu, czem nam jeszcze będzie miłszy. Jako materiał na taki kapelusz potrzebujemy parę zwitków rafji koloru naturalnego i trochę druciku kapelusowego średniej grubości. Za szerokie nitki rafji, trzeba rozdzielić mniej więcej każdą na trzy części, tak aby nitka miała 2 do 3 milimetrów szerokości. Wyciąć wszelkie o nierównym zabarwieniu kawałki, pozwiązywać nitki ze sobą i zwinąć na kłębek. Zwinąwszy połowę motka, zaczynamy robotę. Bieremy cienkie szydełko, im rafja węziej podarta, a szydełko cieńsze, tem kapelusz będzie ładniejszy. Robimy kółeczko z czterech oczek łańcuszkowych, zamknięte jednym ściśnięciem oczkiem, następnie obrabiamy je półsłupkami. W każdym następnym rzędzie przybieramy nieregularnie półsłupki, tak aby denko płasko leżało. Otrzymane koło złożymy równo napół, przeciągnąć przez średnicę kolorową nitkę, której długie pozostawione z dwóch stron końce oznaczają środek tyłu i przodu. Zrobić dziesięć rzędów szydełkiem, przybierając coraz to z innej strony końców nitek, oznaczających przód i tył kapelusza. Tem przybieraniem tylko przed i za nitkami zmienimy wkrótce koło na owal, który szczelnie wejdzie na głowę. Robić dalej, rozkładając wciąż nieregularne przybieranie, które w ten sposób zniknie w całości, dopóki denko kapelusza nie będzie dokładnie wchodziło na głowę. Jeżeli kapelusz robiony jest zupełnie podług podanych wskazówek, denko z chwilą dostatecznego

obwodu owalu, powinno być lekko wklęsłe. Zrobić w dalszym ciągu nie przybierając około trzydziestu pięciu rzędów, przymierzyć główkę, upasować ją, umocować szpilkami potrzebne załamki, zaszyć je od spodu nitką rafji, co uczyni ścięgi niewidzialnymi. Skończyć główkę, robiąc jeszcze odpowiednią ilość rzędów, zależnie od wielkości głowy i wzrostu danej osoby. W pięciu ostatnich rzędach, zmniejszać, opuszczając gdzieś oczka poprzedniego rzędu, aby główka była ściśle dopasowana i prędzej ciasna, jak za luźna. Rondko kapelusika robi się tak samo, przybierając w pierwszym rzędzie 3 oczka, w drugim 4, w trzecim 4-ry, w czwartym 5, w piątym 6 oczek. Wtedy kolorową nitką oznaczyć skąd zacząć się i gdzie skończy odwiniecie rondka. Zrobić 5 rzędów przybierając oczka tylko z przodu. W części, która ma być odwinęta, nie przybiera się wcale. Przybierać w dalszym ciągu z przodu, im więcej będziemy przybierali, tem płaskiejsze będzie rondko. Ujmując oczek, nadamy kapeluszkowi formę dzwona. Na końcach podniesienia, zmniejszać o jedno oczko w każdym rzędzie. Jeżeli w którymkolwiek miejscu rondko będzie już odpowiedniej wysokości, nie robić go już wcale, następne rzędy niekompletne będą musiały być zmniejszane przynajmniej o jedno oczko na każdym krańcu, aby rondku nadać fason najbardziej twarzy. Skończywszy kapelusz, podszycić rondko drutem tak, aby przód był trochę rozciągnięty, a podwinęty brzeg przyciągnięty dobrze przylegał do główki. Na końcu, obszyć brzeg wstążeczką, odprasować gorącym żelazkiem cały kapelusz. Resztą wstążeczki, otoczyć główkę, związać na boku kokardkę i przyczepić ją krzyżem. W ten sposób można zrobić każdy kapelusz. Główka nie zmienia się, a co do rondka, trzeba tylko pamiętać, że na odgięcie nie przybiera się oczek — prędzej ujmuje gdzieś. Dzwon wymaga małych powiększeń, a rondko w formie kapotki potrzebuje częstych i regularnie rozmieszczonych przybierań, jak np. pęczki kwiatów, lub pojedyncze kwiaty z kolorowej rafji.



NA WIEŚ

Jeżeli się wyjeżdża na wieś, na bezwzględną wieś, bez deptaku z orkiestrą, bez dancingów, konkursów piękności i t. p. pił kuracyjno letniskowych, natomiast wieś z świeżym mlekiem, mokrą i zieloną trawą, grzązkiemi drogami, kolczastemi płotami, słowem wszystkiemi rozkoszami i niewygodami wsi, należy ze sobą zabrać odpowiednio przygotowaną garderobę.

Przedewszystkiem do kufra z paczulą i naftaliną, w którym już spoczywają pogrążone w całoletnim śnie nasze futra i suknie balowe, należy złożyć również wszelkie wymyślne deux i trois pièces'y z kash'a fulgurante'y, lub też broń Boże z georgette'y, ślicznie by wyglądały po jednej wycieczce do lasu na grzyby, wszystkie krzaki i niskie gałęzie jodeł zachowałyby z pewnością strzępy lekkiej materji, dziwując się srodze tej nowej odmianie pajęczyny. Wymyślne pantofelki z zamszu inkrustowanego lakierem, z batikowanej, lub ręcznie malowanej skórki wraz z jedwabnemi pończoszkami we wszystkich odcieniach bois de rose, też zostawimy w domu. Lepiej będzie również zostawić w domu czarny płaszcz z połyskującego jedwabiu; po jednej dwunastokilometrowej przejażdżce trzęsącą bryczką po piaszczystej drodze będzie cały couleur de poussiere i żadna siła nie zdoła go odczyścić.

Radziłabym także pochować do pudełek wszystkie strojne kapelusze, maleńki podróżny kapelusik i duża cienista pasterka do letnich sukien wystarczy na wiejskie potrzeby w zupełności. Na drogę radziłabym wziąć kostjum tailleur, niekoniecznie ten najnowszy, lepiej niech sobie poczeka w domu do jesieni, na podróż kostjum zeszłoroczny, nieco skrócony i odprasowany, będzie aż nadto wystarczający.

Palto, najlepiej nieprzemakalne, w każdym razie w jednym z kolorów nie obawiających się ani słońca, ani śloty (chaki, naturalny kolor cover-coat'u) również niekoniecznie najmodniejsze, zarówno w podróży, jak i na miejscu odda nieocenione przysługi.

Do kostjumu należy zabrać kilka bluzek na zmianę, te bluzki, których nie chciałyśmy już nosić w mieście, świetnie nam jeszcze na wsi posłużą, a na wyjeździe będą stanowiły dar królewski dla jakiejś Magdusi, czy Agapci. Tak samo dadzą się na wsi donosić nasze zeszłoroczne letnie sukien-



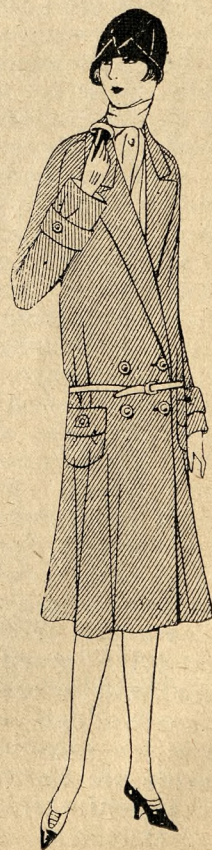
ki. Nie należy tylko tego projektu dobijania na wsi starej garderoby rozciągać na suknie strojne. Na widok szerniałych galonów, ongi srebrnozłoty koronek, pomiętych tiulów i riuszek, oświetlonych lipcowem słońcem na tle zieleni, uśmiełby się nawet stary koń wozivody, nie mówiąc już o rozbawionej młodzieży na wakacjach, której na wsi zawsze pełno.

Letnia suknia na wieś powinna być prosta, estetyczna, nie krępująca swobody ruchów i dająca się często i łatwo prać. Bardzo odpowiednim materiałem na takie suknie są rozpowszechnione obecnie tricolore'y i popeliny (imitacja surowego jedwabiu) gładkie i w pasy, piorą się świetnie, nie są zbyt kosztowne i mają jeszcze tę wielką zaletę, że się mało gniotą. Deseniowe krepony bawełniane, noszące szumną nazwę crêpe marocain'ów, są również bardzo odpowiednim materiałem na wiejskie sukienki letnie. Kolory powinny być jasne i żywe, w słońcu i na tle zieleni tonują się i radują oko najjaśniejsze barwy.

Ostrzegam jedynie przed kolorem czerwonym, ze względu na nieuzasadnioną antypatję niektórych byków do tego pięknego koloru. Podczas samotnych przechadzek można być narażoną na poważne niebezpieczeństwo. Druga popularna osobistość wiejska, nie znosząca czerwonego koloru, jest to indor. Oczywiście w porównaniu z bykiem jest antagonistą niegroźny, nieomal humorystyczny, a przecież szalona gonitwa przez podwórze z rozjuszonym indorem na karku nie należy do największych sielskich przyjemności. Dlatego lepiej wyrzec się na wsi czerwonego koloru, zresztą to barwa symboliczna naszych najbliższych, aczkolwiek nie najmilszych sąsiadów, br... Lepiej dajmy pokój wszelkiej czerwieni, zwłaszcza na wsi.

Krój naszych letnich, wiejskich sukienek winien być jak najprostszy, konieczne, czy to drogą fałd, czy zmarszczek z falban rozszerzony w dole, żeby można swobodnie wziąć udział w zaimprovizowanym wyścigu, przesadzić rów, ewentualnie przeleźć przez płot (nigdy nie można przewidzieć...). Ręce i szyja powinny być odsłonięte, aby jak największa część skóry stale była na powietrzu.

Biały kołnierz z opalu lub walansjenek, długi kolorowy krawat, wąski pasek z kolorowej



skóry, oto jedyne ozdoby. W każdym francuskim żurnalu znajdujemy w dziale sukien letnich tak zwane „robes paysannes“, są to sukienki stylizowane na temat kostiumów ludowych. Np. obcisły staniczek i marszczona spódnica w kwiaty, gorset z czarnej satyny, fartuszek, bufki i bretonka. Sądzę, że przy pomysłowości i smaku dałoby się niejedno z naszych strojów ludowych, takich malowniczych i barwnych zastosować do wiejskich letnich sukienek.

Płóciennie obuwie nie jest w tym roku modne w mieście, ani eleganckich uzdrowiskach, nie jest to powód, aby go nie nosić na wsi. Jest lekkie, tanie i bardzo estetyczne, do białej sukienki z frotte, lub kreponu, nic tak ładnie nie wygląda, jak biały płócienny pantofelek. Z powodzeniem można na wsi dobić niemodne już czółenka prunelowe, lekkie i wygodne.

Najmodniejsze w tym sezonie obuwie wyplatane, rzeczywiście idealnie lekkie i przewiewne, jest bardzo kosztowne i niezbyt trwałe. Bardzo odpowiednie na wieś



są sandały bez obcasów na grubej podeszwie. O ile stosunki domowe pozwalają na odrzucenie zbędnych ceremonij, zalecam czytelniczkom z całego serca chodzenie na wsi bez pończoch, nogi opalają się na słiczny złoto-różowy kolor najmłodniejszych pończoch, wygląda to bardzo estetycznie i jest bardzo zdrowe. Bezwzględnie zdrowe jest chodzenie zupełnie boso, ale tylko dla osób odpowiednio zahartowanych, wydelfikowane roślinki wielkomiejskie mogą się nabawić niepotrzebnego kataru. Jako przykrycie włosów, które wiatr rozrzuca, a słońce przepala, służą pstre chusteczki z lekkiego jedwabiu, tiulu, wreszcie zwykłe drukowane perkalowe chłopskie chustki, w których opalonym buziom niezmiernie jest do twarzy, albo fantazyjne czepeczki z białego tiulu, koronek i organdyny w kształcie kapturków, lub bretonek. Najlepszym kosmetykiem i największą ozdobą będzie wiejskie powietrze i słońce, w którym blade miejskie twarzyczki nabiorą brzoskwiniowych tonów z dni najpiękniejszej młodości.

Well.

LISTY

Nerw korespondencyjny jest u nas rzadkością. Tak w życiu prywatnem, jak i w dziennikarstwie daje się odczuć brak wydoskonalenia w tym kierunku, a trudno zaprzeczyć, że jest to dziedzina godna specjalnej uwagi. Dobrze napisany list, racjonalnie ujęta korespondencja, wszechstronna, traktująca o przejawach, które zainteresować mogą nie tylko jednostki, ale szeroki ogół są w naszym życiu wartościami dodatnimi, które ocenić się dadzą szczególnie w zetknięciu z tak bardzo nieraz dyletanckiem potraktowaniem tej sprawy.

Dwa najważniejsze czynniki, to treść i forma stylistycznie i fonetycznie doskonała.

Ile razy zdarza nam się czytać korespondencję traktującą o rzeczach ważnych i ciekawych, a jednak pozostawiającą tak wiele do życzenia pod względem opracowania, korespondencję, której cenna treść zacierza się wobec zgrzytów językowych, wadliwego zestawienia zdań, wyrażań nieraz nawet zgoła niesmacznych.

Lata, które dzielą nas od smutnego okresu niewoli i wpływów obcojęzykowych, winny były wystarczyć na wygładzenie braków na oszlifowanie, że tak powiem, cennego diamentu naszej mowy ojczystej, a jednak praktyka wykazuje smutną rzeczywistość.

Praca, jaką w tym kierunku podjąć należy, jest niestety syzyfowa. Wystarczy wziąć do ręki dzienniki wszystkich dzielnic Polski, aby na rozległej ich niwie nazbierać wiązanek kwiatków, które za jaskrawe przyczynki do słów mych posłużyć będą mogły. Te zgrzyty żelaza po szkło dałyby się łatwo usunąć,

gdybyśmy wszyscy w pracach naszych dążyli stale do doskonałości, w której osiągnięciu pierwszym warunkiem było, jest i będzie uznanie własnych braków i chęć skorzystania z dobrej rady, oraz posłużenia się niejednokrotnie litościwą ręką korygenta.

Jeżeli uznamy, że sprawa ta jest paląca i pierwszorzędną wagi tam, gdzie chodzi o drukowane słowo, które ma dostęp do szerokich mas, słowo, które służy poniekąd do uświadamiania ich, a nawet i kształcenia, do wyrabiania smaku estetycznego, nie będziemy przez to samo mogli zaprzeczyć i konieczności zwrócenia baczonej uwagi na szkolenie w tym kierunku młodego pokolenia, z którego wyrastają przecież jednostki powołane do objęcia w przyszłości ważnych placówek.

Szkoła daje teorię, nie może jednak być na tyle wszechstronną, aby w każdą poszczególną jednostkę mniej, lub więcej podatną, wlać odczucie pewnych subtelności, składających się nieodwołalnie na całość kulturalną i skończoną. Rola ta przypada w udziale domowi, a tem samem kobiecie-matce, która roli tej bagatelizować nie powinna.

Przechodząc do listu stwierdzić musimy niestety jednogłośnie, że naogół zbyt mało przywiązujemy do formy jego wagi, nie doceniając wielkiego uroku, jakim jest w życiu miła, dobrze ujęta korespondencja. Wymiana listów podtrzymuje stosunki towarzyskie, zacieśnia węzły przyjaźni i uczuć rodzinnych, a czasem nawet rodzi w następstwach cenne zainteresowanie, pogłębia urok który bez niej zagasłby przedwcześnie.

Rozstrząsając jedno po drugim wszelkie przykazania, któremi list kierować się winien, zatrzymajmy się na pierwszym, a może w dziedzinie korespondencyjnej najważniejszym. Listu nie wolno pozostawiać bez odpowiedzi. Nie odpowiedzieć na list, to nie tylko wystawić sobie świadectwo złego wychowania, ale i urazić osobę, która zwróciła się do nas, czy to w interesie, czy też poprostu z porywu uczucia, zainteresowania, albo prostej towarzyskiej grzeczności. Pominięcie milczeniem nosi w sobie zarodek lekceważenia, lub trudnej do darowania impertynencji. Są bezwzględnie i w tym wypadku okoliczności łagodzące — dłuższa nieobecność, w czasie której nieprzeczytany list oczekiwał na powrót adresata, choroba, nawał ważnej absorbującej pracy, lub też zżyłość o podłożu bezceremonjalnym, która łącząc nas z osobą piszącą pozwala na pewne rozluźnienie obowiązujących w tym względzie przepisów. Naogół jednak listu z adnego bez odpowiedzi zostawić nie należy, chyba w wypadku kiedy rozmyślnie staramy się urazić kogoś, dając mu do zrozumienia, że dalsze z nim stosunki towarzyskie są nam zbędnym ciężarem.

Oprócz obowiązkowych listów związanych tak ściśle z tradycją listów świątecznych i imienninowych, listów, któremi staramy się dać wyraz subtelnej pamięci tam, gdzie chodzi o jakieś ważniejsze okresy czyjegoś życia, o ciche a tak bardzo ważne rocznice, żał, czy uśmiechem na stronicach ludzkiej zapisane egzystencji, są jeszcze listy, których formę i treść opanować najtrudniej to listy kondolencyjne.

Jeżeli w życiu czyjeś uderzy grom wielkiej niedoli, trudno znaleźć nutę, która złagodziłaby ból, nie była rozdźwiękiem, lub poprostu czczem bezwartościowym słowem. List taki musi być niezbyt długi, a jednak coś cennego sobą dający, nie chliwy, a ciepły, jak uścisk serdeczny, w który o tyle łatwiej włożyć ogrom treści, niż puste nieraz dźwiękiem słowa, winien być dokumentem zrozumienia i dyskretnego współczucia, prawdziwego i głębokiego wczucia się w czyjś ból, szczerzego współudziału w cierpieniu. Pisząc list taki liczyć się należy z wysubtelnieniem, jakie nosi w sobie cierpienie — poza, lub pustka, wiejąca od stronic listu kondolencyjnego, przesłaby może w innych okolicznościach niepostrzeżenie w wypadku, o którym mowa, musi się stać przykrym rozdźwiękiem.

W listach, których formę nie tak trudno, jak wyżej omawianą opanować, trzeba się też jednak pewnymi kierować względami, a zatem pisząc do kogoś z powinszowaniem imienia nie trzeba w treść listu wpłacać przykrych wiadomości, potrącając o ławą nutę ciężkich czasów, która tak niewyczerpanego dostarcza nam dzisiaj tematu, pomnąc, że dzień imiennin, to dzień przeznaczony radosnemu wspomnieniu, dzień, który stoi poza nawiasem życia, a winien być słoneczny i szczęśliwy.

Wogóle w treści listów umiar jest cenny. Jeżeli na przykład korespondujemy z kimś w okresie wydarzeń ważkich, które przemilczeć trudno, nie należy wracać do nich bezustannie, stwarza to nastrój męczącej jednostronności i tchnie zazwyczaj nudą.

List, za wyjątkiem rzadkich wypadków, winien być barwną plamą na szarem tle naszego smutnego życia, słodką pianą na kielichu gorzkiego, jakim jest codzienny szary trud, z którego płynie się różaniec ziemskiego bytu, wytnięciem dla strudzonej myśli, rozwiązującej wiecznie problematy prostych, a jednak zawiłych zagadek dni, co idą — dla tej biednej stru-

dzonej myśli ludzkiej, szukającej wytrwale uroczych polan na pyłach pokrytych rozstajnych drogach życia.

Bo śliczny list o niczem, lśni się jak barwny motyl w słońcu, muskając skrzydłem coraz to innego tematu wyobraźnię, co się wraz z nim uśmiecha, tęskni i płoni, napisany po mistrzowsku jest prawdziwą perłą w dziedzinie korespondencji, a dostępny tylko dla kogoś kto na świat ze sobą iskrę bożą specjalnego przyniósł talentu. Ludzie obdarzeni tym rzadkim darem winni, niczem hojni szafarze siać go po świecie w imię rozkoszy, jaką jest otrzymanie takiego cacka o misternej formie i ślicznym stylem wypowiedzianej ciekawej treści. List nie musi być koniecznie skarbnicą realnych, podstawowych wiadomości, aby był oczekiwanym gorąco i niecierpliwie posłannikiem radości, czy zadowolenia. Życie i tak obfituje w realizm — mamy nim wszyscy wypełnionedni i godziny, to też w smutnem i pustem nierazbytowaniu tych, którym słońce rzadko na kamienistą pada ścieżkę — list dobry, miły, w miarę dowcipny, niosący z sobą jakoby powiew z innego świata, zainteresowanie naszą dolą i niedolą, przyjazne ciepło i skrzydeł szum, co się ponad szarzyzną wybiły codzienności — jest skarbem prawdziwym.

Treści naszych listów winniśmy jeszcze pewną dozę opanowania. Nie piszmy ich zatem nigdy ręką, która kieruje bezpośrednia siła impulsywnych wrażeń. Złe, czy dobre, wyjdą zawsze poza granicę tego, co by się powiedzieć chciało, szczególnie jeżeli pisze je kobieta, która powolnem wrażliwej duszy jest narzędnem. Pomiedzy treścią listu, który dyktować ma jakieś wybitnie silne uczucie, jak złoty most winna leć godzina myśli, myśli oderwanych od faktów, których siła mąci jasność sądu i sprawiedliwość. Słowa, przesiane przez sito dłuższego zastanowienia, będą wówczas najlepszym rzecznikiem naszej sprawy, a list, co je w świat poniesie, zwiastunem dobra i skarbnicą pokoju.

List poprawny, ładny, czy doskonały treścią, musi mieć jeszcze i zadawalniającą formę — inaczej nie da sobą nigdy całkowicie skończonego wrażenia.

Prócz wyraźnego czytelnego pisma do opanowania zewnętrznej formy listu należy jeszcze ważny czynnik używanego papieru, rodzaj i kolor którego winien łączyć się w harmonijną całość z sylwetką tej, która misterne słów na nim kreśli szeregi.

Do miłych i kulturalnych przyzwyczajeń należy używanie zawsze jednakowego papieru listowego, który staje się czasem, jakoby częścią danej istoty, a przepojony subtelnie i bardzo delikatnie wonią perfum, która niczem mistyczny krąg zamyka w sobie specjalny czar tej jedynej osobowości, tchnie swoistą, śliczną cechą wyrafinowanej kobiecości. Wystrzegać się należy silnie naperfumowanych papierów listowych i wyraźnej ich barwy. Różowe, w złotą obwódkę ujęte naznaczone są zgóry piętnem pospółkości. Papier listowy prawdziwie elegancki musi być przede wszystkim w bardzo wysokim gatunku — matowy czerpany, o delikatnych tonach kości słoniowej, czy też w pastelowym utrzymaniu kolorystycznym, naznaczony dyskretnie u góry arkusika literami właścicieli, bez żadnych ozdób i winjetek, co wyszło dawno z mody i nie licuje z dzisiejszem dążeniem do osiągnięcia maximum prostoty. Chaotyczna częsta zmiana papieru, jego koloru i formy świadczy o braku upodobań i przyzwyczajeń, co cechować zwykło mało kulturalne jednostki. Nigdy, nawet w korespondencji z najbliższymi oso-

bami nie wolno lekceważyć formy listu, która tak wyraziście świadczy o skali wyrobienia towarzyskiego i poszanowania osoby, do której piszemy. W tę dziedzinę wkracza także staranne adresowanie kopert, które swoim niedbale, krzywo i niewyraźnie nakreślonym adresem wołają nieraz o pomstę do Boga.

Niema większej męki nad odcyfrowanie nieczytelnych bazgroł, których widok przejmując nas lękiem, zanim się jeszcze do tej mozolnej pracy weźmiemy, to też trud nad wyrobieniem pisma czytelnego i estetycznego winien stać się ważnym dla każdego.

W. N....cka

POLSKA WSPÓŁCZESNA

V.

PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY PAŃSTWA.

Celem wykonywania władzy państwowej oraz celem sprawowania administracji miejscowej, państwa dzieli się na mniejsze jednostki, noszące rozmaite nazwy w różnych krajach. Podział administracyjny bywa jednostopniowy, gdy władzę miejscową wykonywuje organ rządowy, bezpośrednio zależny od władz centralnych, i dwustopniowy stosowany w przeważnej części wielkich państw, gdy władza miejscowa zależna jest od władz centralnych pośrednio, przez władzę nadzorczą, kierującą tylko pewną ilością władz miejscowych.

Polska podzielona jest dla celów administracyjnych na 15 województw i na nienależący do żadnego województwa Okrąg m. st. Warszawy. Każde województwo dzieli się na powiaty, lub miasta, nie wchodzące w skład powiatu.

Na czele administracji województwa stoi Wojewoda. Wojewoda jest na terenie województwa reprezentantem Rządu i z jego ramienia sprawuje władzę państwową. Wojewoda ma przydanych do pomocy urzędników, tworzących Urząd Wojewódzki. Wojewodzie podlegają służbowo starostowie i Prezydenci miast, położonych na obszarze Województwa. Kompetencja Wojewody obejmuje całokształt administracji państwowej, za wyjątkiem spraw administracji wojaskowej, sądowej, skarbowej, szkolnej, kolejowej, pocztowej i reform rolnych, o której będzie mowa w następnym artykule. W mieście st. Warszawy funkcje Wojewody połączone z funkcjami starosty sprawuje Komisarz Rządu na m. st. Warszawę, podległy bezpośrednio Rządowi central-

nemu. Specjalne stanowisko ma Wojewoda Śląski na zasadzie statutu autonomicznego Województwa Śląskiego. Jest on z jednej strony reprezentantem Rządu Centralnego wobec Sejmu Śląskiego, a z drugiej kierownikiem śląskiej władzy autonomicznej.

Na czele administracji każdego powiatu stoi Starosta. Starosta ma do pomocy urząd, nazywany Starostwem. Do kompetencji starosty należą w stosunku do zarządzanego przezeń powiatu wszystkie te sprawy, które w Województwie należą do Wojewody.

W miastach, nie wchodzących w skład powiatu, administrację rządową sprawuje bądź Prezydent miasta, (jak n. p. w Poznaniu), bądź też specjalny Komisarz Rządowy (jak n. p. w Wilnie), posiadający podobne uprawnienia i funkcje, jak starosta.

Oprócz obowiązków wykonywanych w zakresie administracji państwowej, Starosta jest głową administracji miejscowej, samorządowej, spełniającą ważne zadania gospodarcze i społeczne, jakie państwo ustąpiło do załatwiania organizacjom samorządu terytorjalnego. W tym zakresie jest starosta zwierzchnikiem wszystkich gmin (zarządów gminnych), na jakie pod względem administracji samorządowej dzieli się powiat, i przewodniczy w Sejmiku, będącym organem uchwalającym samorządu powiatowego. Wyjątkowo w b. Galicji funkcje starosty oddzielone są od kierownictwa samorządem, które sprawuje t. zw. Przewodniczący Rady powiatowej.

Organem wykonawczym Wojewodów i Starostów jest Policja Państwowa. Policja w powiecie jest podwładna

Województwa	Siedziba władz Wojewódzkich	Obszar klm. ²	Ileść powiatów	Ileść miast wydzielonych z administracji powiatowej	Zaludnienie wg. spisu 1921 r.
m. st. Warszawa	Warszawa	121	—	—	936.713
Warszawskie	Warszawa	29.310	23	—	2.112.798
Łódzkie	Łódź	19.034	13	1	2.259.760
Kieleckie	Kielce	25.736	16	—	2.535.781
Białostockie	Białystok	32.745	13	—	1.307.396
Lubelskie	Lublin	31.100	19	—	2.087.951
Wileńskie	Wilno	27.849	8	1	973.404
Nowogrodzkie	Nowogródek	23.451	7	—	824.045
Poleskie	Brześć n/B.	42.286	10	—	880.898
Wołyńskie	Łuck	30.288	10	—	1.437.907
Poznańskie	Poznań	26.605	35	2	1.067.649
Pomorskie	Toruń	16.386	18	2	935.679
Śląskie	Katowice	4.250	8	3	1.124.967
Krakowskie	Kraków	17.448	22	1	1.992.810
Lwowskie	Lwów	27.024	27	1	2.718.014
Tarnopolskie	Tarnopol	16.240	17	—	1.428.520
Stanisławowski	Stanisławów	18.368	16	—	1.348.580

Starości, który za jej działalność ponosi odpowiedzialność przed Wojewodą. Dla celów bezpieczeństwa publicznego utrzymywane są w obrębie powiatu Urzędy pod nazwą posterunków policyjnych, w miastach Komisarjaty Policji. Urzędy te z ramienia starosty, lub Komisarza Rządu mają pieczę nad bezpieczeństwem swego okręgu, a także wykonywują pewne zlecone im czynności z zakresu administracji państwowej. Ponadto w kilku miastach istnieją t. z. Dyrekcje policji, wykonywujące obok funkcji z zakresu bezpieczeństwa także inne funkcje administracyjne.

Jak powiedziano powyżej, mamy w Polsce 15 województw i Okrąg miasta st. Warszawy. Podana na poprzedniej stronie tablica wskazuje obszar, zaludnienie i ilość powiatów w każdym województwie.

Województwa Pomorskie i Poznańskie położo-

ne są całkowicie na terenie b. zaboru pruskiego; Województwa Krakowskie, Lwowskie, Stanisławowskie i Tarnopolskie, obejmują b. zabór austriacki; inne, za wyjątkiem Śląskiego, leżą w b. zaborze rosyjskim. Jedno tylko Województwo Śląskie składa się częściowo z ziem b. zaboru pruskiego, częściowo zaś z ziem b. zaboru austriackiego.

Powiaty na wschodzie Rzeczypospolitej są bardzo rozległe, choć słabo zaludnione, a Województwa liczą niewielką tylko ilość powiatów. Inaczej na zachodzie, gdzie Województwa liczą znaczne ilości powiatów, a powiaty są małe, a gęsto zaludnione. Usunięcie tej nierównomierności podziału administracyjnego jest przedmiotem trosk Rządu, który ma zamiar wystąpić z projektem nowego podziału, mniej uzależnionego od b. granic zaborczych, a bardziej dostosowanego do obecnych potrzeb państwa.

JAK USZYĆ SAMEJ POKROWCE NA MEBLE

Ten bardzo kosztowny sprawunek o ile załatwiony przez tapicera, więcej jak o połowę taniej wypadnie, jeżeli będziemy chcieli zadać sobie trochę trudu i pracy i same uszyjemy tak niezbędne na zniszczone meble pokrowce.

Kretony i satyny meblowe najodpowiedniejsze są na ten użytek, zwłaszcza satyna meblowa w dobrym gatunku, jako bardzo szeroka, najtaniej wypadła. Szyjąc pokrowce lepiej trochę drożej zapłacić za materiał, a wziąć szeroki i dobry, inaczej cała nasza praca i wydatek na nic, gdyż podrą się momentalnie.

Wybierając materiał barwny, trzeba uważać aby tło nie było łatwo brudzące się, białe i kremowe jest niezdatne, popielate, szare, niebieskie są bardzo trwałe. Pokrowce powinny być szerokie, o ile są wąsko skrojone poznać zaraz można, że robiła je ręka nieodpowiedzialna.

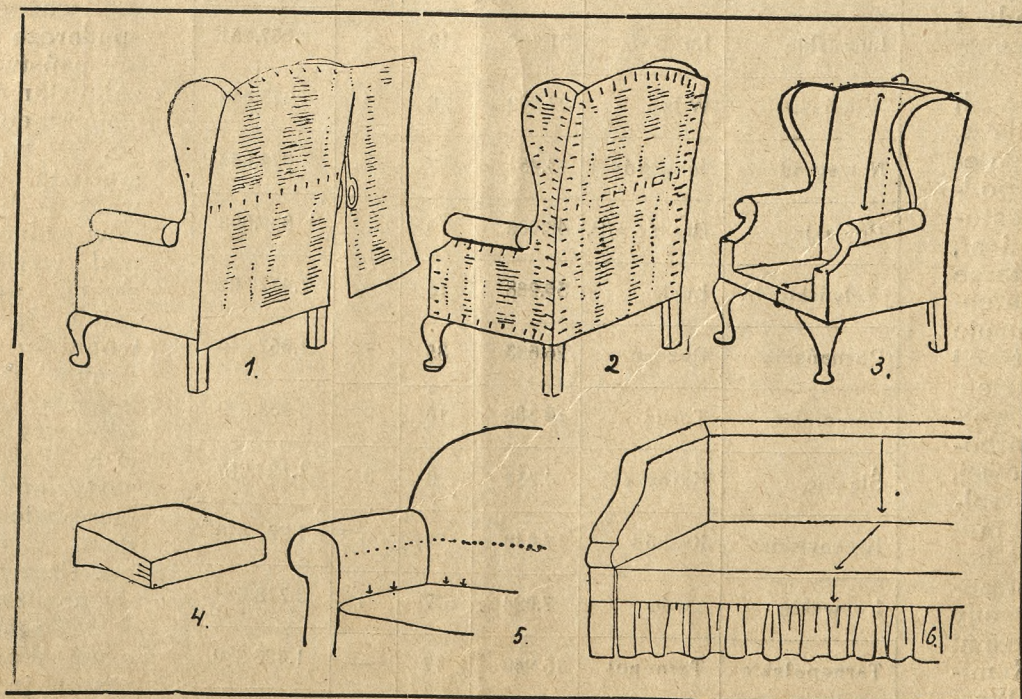
Niemożliwem jest dać fason pokrowca ani odpowiedni wymiar, bo każdy mebel jest odmiennej wielkości i kształtów, do których fason musi być zastosowany.

Trzeba wziąć papier szarego, pakowego w arkuszach, w ostateczności dużego rozmiaru gazetę ale tylko w ostateczności, bo jako bardzo słaby papier z gazet nie nadaje się na formy. Przedewszystkiem przypiąć papier szpilkami do tyłu fotela, rys. Nr. 1, zostawić przypięty papier i opinać dalej dokładnie oparcia, boki i t. d. rys. 2, krając przypuszcza się

na szerokość, aby pokrowiec był luźny. Przypinać dalej papier tak, aby szwy na szwy trafiały, gdzie jednak robota mebla jest skomplikowana, pokrowce trzeba starać się skroić prościej, unikając niepotrzebnych szwów. Przy fotelach z kantami mocno wypchane, trzeba połączyć przód z tyłem pokrowca pomocą szerokiego pasa skrajanego po prostej nitce. Można mniej więcej obliczyć potrzebną do zakupu ilość materiału biorąc miarę fotela w sposób następujący. Zmierzyć tył od ziemi do góry fotela, przeprowadzić centymetr przez oparcie i siedzenie do ziemi, na szwy i założenia doliczyć 25 cm., a jeżeli mebel jest bardzo szeroki trzeba dodać jeszcze kawałek na zesztukowanie i dobranie desenu. Materiał kraje się sposobem, który podałam, pamiętając o udzielonych powyżej uwagach.

Na krzesła i kanapki ze sprężynowymi siedzeniami trzeba zawsze dodać w dolnych częściach tyłu siedzenia i bocznych oparć 10 cm. na obetkanie poduszek (patrz strzałki rys. Nr 5). Dziesięć centymetrów trzeba również dodać z trzech stron

wewnętrznych siedzenia, w górze oparcia i z boków krzesła, bo ładniej wygląda dół pokrowca dostatecznie i szeroki. Jeżeli siedzenie nie od kanapy np. składa się z poduszek, trzeba krajać pokrowiec obszerniej tak, aby móc swobodnie wsuwać pod niego poduszki bez względu na ich objętość rys. 6. Dodaje się po 10 cm. z trzech stron wewnętrznych. Jeśli pokrowiec kraje-



my na meble bez sprężyn, lub drewniane trzeba przypuścić tylko po 4 cm. Dół może być wykonany podług upodobania gładko, lub z falbaną, trzeba jednak zdecydować jak zrobimy przed zdjęciem formy. Krając materiał trzeba pamiętać, aby pokrowiec był co najmniej o 5 do 10 cm. szerszy do mebla, przyjąc możemy za zasadę 5 cm. szerzej na meble nie sprężynowe 10 na wyściełane. Oprócz tego liczyć trzeba z każdej strony na szwy 2 cm.

Bardzo starannie trzeba dobierać deseń, uważając, aby szedł z góry do dołu wszędzie jednakowo (strzałki rys. Nr. 3), o ile zaś są duże motywy, trzeba tak pasować, aby wypadło po jednym w środku siedzenia, oparcia i tyłu. Boki powinny mieć deseń ściśle dopasowany i nigdzie nie dany naodwrot.

Przykrajawszy wszystkie części, pospinać je szpilkami na krzesle. Pofastrygować zawsze na krzesle wszystkie szwy. Jeżeli pokrowce mają być zeszyte szwem angielskim, to jest wszystkie w wypustkę lub sznureczek obszyty skosem jednokolorowym, dobranym do tła materiału, pasować je trzeba na lewo, jeśli zeszyć je mamy szwem francuskim na prawo, pamiętając zawsze o zostawieniu dwóch centymetrów na zaszycie. Po sfastrygowaniu trzeba usiąść na krzeselku, lub fotelu i przekonać się, czy nasz pokrowiec jest w samo prawie, bo tak jak nie powinien być za wąski, tak samo nie może być nadmiernie szeroki. Widujemy pokrowce z tyłu, lub z boków otwarte dla ułatwienia ich nakładania, jest

to dobry sposób, trzeba tylko otwarty szew wykończyć tak, aby zachodziła jedna strona na drugą, a deseń dokładnie pasował. Podlistwować, a po wykończeniu przyszyć gęsto mocne zatrzaski.

Jeżeli łóżka mamy skromne żelazne, a pokój odświeżyliśmy barwnymi nakryciami na meble, możemy również i na nie zrobić pokrowce. Trzeba o ile możliwości zapomocą waty lub wełnianych kawałków sprostować górną linię łóżka, następnie miarę wziąć jak na meble, pozeszywać sznureczkami wszystkimi w skosy, lub francuskim szwem, na boki łóżka uszyć szeroką falbanę, którą po zmarszczeniu umocować na tasie i przywiązywać zapomocą gęsto przyczepionych sznureczków do sprężyn materaca. Tak jak przy meblowych pokrowcach, tak i przy tych można zeszyć dwie strony ze sobą zapomocą odpowiedniej szerokości pasa z kretonu, skrajanego po prostej nitce, albo połączyć je wypustkami ze sznureczka, wszytego w skosik, który należy zebrać i uprasować, żeby się później nie ciągnął, sznureczek trzeba sparzyć przed użyciem, żeby się nie kurczył, a kupować do tego zastosowania trzeba sznurek zwany tapicerskim, jako jedyny zupełnie równy.

Obręb u falbany trzeba zafastrygować przed marszczeniem jej i dopiero marszczyć i pasować. O ile meble są nie wyściełane, trzeba zrobić odpowiedniej wielkości poduszki (r. 4), napchać je włosem, lub pierzem i wsunąć na twarde siedzenie pod pokrowiec.

MASZYŃKA SPIRYTUSOWA

Mała maszynka spirytusowa jest według mnie niezbędną towarzyszką w drodze, u wód, na letnisku. Jednem słowem wszędzie poza domem, — zresztą w domu też — gdyż i w domu, szczególnie jeśli nie mamy gazu, — rozpalenie częste ognia jest kłopotliwe i marudne, o ile to jest Primus — nieznosnie huczy, — jeżeli Gräets, wymaga ciągłego, i żmudnego czyszczenia, gdyż przy najłżejszym zanieczyszczeniu wstrętne pachnie. Od lat dwudziestu pięciu mam taką miłą towarzyszkę życia i z przyjemnością, codzień przechodząc koło bufetu, na którym stoi, rzucam na nią serdeczne spojrzenie. Było to w roku 1900, w czasie wielkiej wystawy Paryskiej, przejazdem przez Berlin, po zjedzeniu luksusowego obiadu we wspaniałym „Kaiserhofie“, mąż mój zaniemógł i prosił o kleik lub kaszkę. W hotelu o przyrządzeniu takiej nawet rozmawiać nie chcieli. Były to czasy przedwojenne i przedrewolucyjne, sklepy były do późna otwarte, — zbiegłam więc na dół, kupiłam maszynkę, spirytusu i „Herkulo“. Za minut dziesięć kleik był gotów. Dopiero po zjedzeniu go przez chorego, obojętnieśmy dobrze przyrządzić kupiony. Nie wybierałam go, doprawdy nie miałam na to ani głowy, ani czasu.

Dwa rondelczki niklowe, jeden większy, a raczej wyższy, mieszczący trzy szklanki płynu, drugi płaski, w środku składany trójnożek żelazny, rączka ruchoma, dająca się zastosować do obu rądelków, maszynka właściwie też niklowana, zamykana szczelnie, mieszcząca parę łyżek spirytusu zaledwie, w niej wata azbestowa pokryta miedzianą siatką. Oprócz tego podstawka do gotowania czterech jaj, mały rezerwuar na herbatę, drugi na kawę, dające się

przywiesić na łańcuszku do pokrywki rondelka. Wszystko to razem kosztowało sześć marek, czyli według kursu ówczesnego około trzech rubli.

Nie miałam w życiu pożyteczniejszego sprzętu! przez ćwierć wieku nie rozstawałam się z nią. Jeździ ona przeważnie w moim kapeluszu, włożona pod kapelusz do pudełka, nie zajmuje oddzielnego miejsca, chroni jeszcze główkę kapelusza od zgniecenia przy jazdach kołami, lub innej trzęsącej lokomocyi. Płaska półlitrowa butelka od wody kolońskiej, napełniona denaturatem, i pudełko zapalek wsunięte gdzieś z boku walizki, dają mi niezależność od rozmaitych przykrych ewentualności.

Ciepła woda do zębów i mycie się, możliwość zagrzania szczypców do fryzowania, zrobienia sobie szklanki herbaty, o każdej porze, to były usługi najcenniejsze.

Kiedy na początku wojny zostałyśmy odcięte od domu i musiałyśmy przymusowo spędzić miesiąc parę w Trenczynie, maszynka moja uratowała nas od głodu.

W pierwszym zaraz dniu wojny pensjonaty i restauracje pozamykano, — obiady można było dostać po cukierniach, lub w jedynej restauracji żydowskiej, o kolacjach i śniadaniach trzeba było sobie myśleć samym. Produktów dowożono mało, mięso bywało raz na tydzień, wędliny od rana rozchwytywano. Na mojej maszynce smażyły się kotlety i befsztyki, jajecznicę i kaszki, racuszki i omlety. A różne sosy pomidorowe do parówek, młode kartofle z pomidorami, kluseczki na mleku i różne inne pomysłowe potrawy, już nie mówiąc o czarnej kawie i herbacie. Szczęściem do końca pobytu na-

szego nie brakło w sklepach denaturatu. Potem od-
była moja niestrudzona maszynka po wojnie odwrót
z Bolszewji. Mnie i towarzyszym podróży grzała
i gotowała nieraz posiłek — przeważnie na wodzie
kolońskiej, gdyż spirytus był za cennym artykułem.
Nakoniec lat parę temu, w Sopotach, w czasie de-
waluacji marki niemieckiej, — a miałam nieostro-
żność całą potrzebną sumę zmienić przed wyjazdem
w Warszawie, — zaczęła się potworna drożyzna.
Pierwszorządne restauracje tak były drogie, a dru-
gorzędne tak podle karmiły, że miałyśmy już wrac-
ać do domu, nie ukończywszy kuracji, — popróbo-
wałam robić obiady na mojej maszynce, dodawszy
do moich rondelczków, sporą, stalową patelnię.
Po denaturat trzeba było jeździć
do Gdańska, gdzie raz na tydzień
po litrze go sprzedawano. Ale ja-
dłyśmy znakomicie, obiad się składał
z mięsa, jarzyn i kompotów, do te-
go zawsze mizerja, pomidory, lub
sałata zielona, czasem na zmianę
grzyby, lub ryby smażone. Odży-
wiałyśmy się doskonale, — kosztem
niedużej fatygi i paru godzin cza-
su zużytego na kupno produktów i
przyrządzenia ich. Od tego czasu
maszynka moja odpoczywa, czasem
musi coś zagrzzać — kiedy strajkuje
gazownia.

Otóż niestety tego typu ma-



szynek w Warszawie niema, są natomiast zwykłe
nieduże trójnóżki, z maszynką i regulatorem. Mogą
one doskonale zastąpić moją, bardziej udoskonalo-
ną. Należy tylko dodać do takiej maszynki dwa
rondelki aluminiowe, wchodzące jeden w drugi. W
mniejszym powinna się zmieścić maszynka, patelka
aluminowa, lub stalowa zabierze minimalne miejsce,
do tego butelka płaska z denaturatem i pudełko
zapalek. I można z tem gotować sobie mleko, ka-
kao, kawę i herbatę, wszelkiego rodzaju kaszki,
kleiki, krupniczki, kluseczki i makarony, każde ja-
rzynę, za wyjątkiem kalafiorów, bo te wydają bar-
dzo nieprzyjemny łódź przy gotowaniu i kukurydzy, bo
się za długo gotuje, każdy kompot owocowy, wszel-
kie jajecznice i omlety, sznycle,
befsztyki, kotlety, rozbratle, móżdż-
ki i wątróbki, robić parówki i ser-
delki w pomidorowym sosie, sma-
żyć ryby i racuszki. Jednem sło-
wem możemy zupełnie być nieza-
leżni od jakichś okropności, któremi
czasem podobno karmią po tanich
miejscowościach na Pomorzu, lub
na Kresach, a przynajmniej móc
sobie dorobić codzień jakieś dania
według własnego gustu. Niech pa-
nie spróbują się zaopatrzyć w taki
komplet, a jestem przekonana, że je-
sienią niejedna za myśl podaną mi
podziękuje.!

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

BARANINA I ŁA SARNA.

Należy brać pieczeń z dużego, starszego bara-
na, jak najstaranniej obrać z tłuszczu i skórki, moc-
no wybić wałkiem, aby skruszało, w dużym drewnia-
nem lub glinianem naczyniu zalać maślaną, zsia-
dłem mlekiem, lub nawet serwatką. Trzymać w chłod-
nem miejscu, (najlepiej na lodzie), trzy do czterech
dni, wyjąć, wymoczyć przez sześć godzin w czystej
wodzie, często ją zmieniając, sparzyć wrzącym oc-
tem z korzeniami, naszpikować słoniną, najlepiej
wędzoną. Na głębokiej brytwannie rozpuścić łyżkę
masła, włożyć na to pieczeń, posypać kilkoma gwoździ-
kami jaknajdrobniej utłuczonymi, polać topionem
masłem, wstawić pod blachę, i zrumienić najprzód
z wierzchu, potem od spodu. Piec dalej polewając
octem z marynaty z cebulą, pieprzem i listkiem.
Gdy zupełnie zmięknie podlać jeszcze paru łyżkami
śmietany. Na wydaniu zaprawić sos łyżką mąki roz-
bitej w półszklance wody i wsypać szczyptę tłuczo-
nego pieprzu. Zagotować raz tylko. Pieczeń po-
krajając w plasty, włożyć na półmisek, podawać bar-
dzo gorącą, sos przeprasować przez sito i podać
oddzielnie w sosjerce. Dobrze przyrządzone nie
różni się zupełnie od sarniny. Do takiej pieczeni
można podać każdą sałatę octową, kompot ze świe-

żych owoców, sałatę zieloną, lub mizerję z ogórków.
Można też obłożyć ją młodemi kartofelkami lub bu-
raczkami duszonymi w śmietanie. Wyborna jest ta-
ka pieczeń na zimno z sosem tatarskim lub „Cum-
berland“. Odpowiednim do niej dodatkiem jest każda
zimna sałata z jarzyn.!

DZIKIE KACZKI.

Najsmaczniejsze gdy zupełnie młode, prawie
wprost z gniazda. Kaczki młode po oczyszczeniu,
jak zwykle z pierza, starannie obrać z supłów, opalić
nad spirytusem, wypaproszyć, nadziać tartą bułką,
zmieszaną z drobno usiekaną słoniną, jednym jaj-
kiem, odrobiną pieprzu i utartą wątróbką i krwią
wewnętrzną dzikich kaczek, każdą kaczkę owinać
cienkim plasterkiem słoniny, ułożyć na brytwannie
i piec, podlewać narazie słoniną stopioną, potem
wodą i nakoniec sosem, jaki z siebie puszcza. Gdy
kaczki już miękkie, a młode pieką się bardzo prędko
polać je paru łyżkami śmietany. Poprzekrawać je
na ćwiartki i podać z buraczkami duszonymi w śmie-
tanie, lub z kompotem z jakiegokolwiek suszonego
owocu. Sos zaprawić łyżką mąki, zagotować, prze-
fasować i podać oddzielnie w sosjerce. Można
też młode kaczki podać na przysmażonych na maśle

„MÓJ KREM“ i „MÓJ PUDER HIGJENICZNY“ WE WSZYSTKICH
ODCIENIACH

DR. MED. J. ŚWITALSKA.

SKŁAD GŁÓWNY TOW. AKC. KARPIŃSKI — ELEKTORALNA 35.

grzansach, w takim razie na każdej grzance kładzie się kawałek słoninki usmażonej z kaczką, na to dopiero półwę lub, ćwiartkę kaczki i polewa się sosem wszystko razem na półmisku.

MŁODE KALAREPKI NADZIEWANE

Młode, ale już duże kalarepki, obrać ze skórki, która się bardzo łatwo oddziela, wydrążyć od dołu, od strony łodygi, gdyż tam zawsze kalarepka jest twardsza — używając do tego łyżeczki do drążenia kartofli. Masę tę przepuścić przez maszynkę, zmieszać z bułeczką tartą, kawałkiem masła, przesmażoną w maśle cebulą, i jeśli jest kawałkiem usiekanego gotowanego, czy pieczonego mięsa, lub drobiu, dodać jedno jajko, masę doskonale wyrobić, osolić do smaku. Nadziewać kalarepki tak, aby sporo nadzienia było ponad wierzchołkiem każdej sztuki. W płaskim rondlu zasmażyć łyżkę masła, ułożyć kalarepki jedną obok drugiej, zalać masłem lub wodą prawie do samej góry. Dusić na wolnym ogniu aż kalarepki zmiękną, podać w tym samym naczyniu, lub też przełożyć na półmisek, do sosu dodać łyżkę śmietany, zagotować raz i podać go oddzielnie w sosierce.

SALATA Z KALAFJORÓW

Kalafjory ugotować w wodzie z solą i łyżeczką cukru, odcedzić, podzielić na części. Ugotować trzy jaja na twardo, żółtka oddzielić od białek, białka pokrajać w paski, żółtka utrzeć na miseczce, dodać dużą łyżkę gotowej, francuskiej musztardy, łyżkę cukru, łyżeczkę soli, pół filiżanki dobrej oliwy, tyleż octu, wszystko dodawać kolejno, oliwę i ocet po łyżce na przemian, ucierać mocno, aż masa stanie się gładką zupełnie, dodać filiżankę dobrej, kwaśnej śmietany i utrzeć jeszcze dobrze razem. Na kryształowej salaterce ułożyć listki kruchej głowiastej sałaty, przytem naprzemian kawałki kalafjora i białko pokrajane, jeśli jest rozporządzalny rosół skropić nim obficie kalafjory, polać gęstym sosem majonезowym, dać postać pół godziny przed podaniem, nie dłużej jednak, gdyż sałata by zwiędła i utraciła ładny wygląd.

KAWA MROŻONA

Ugotować najlepszą, mocną, czarną kawę, biorąc herbatnią łyżeczkę kawy na każdą filiżankę, mieć tej kawy trzy szklanki, pięć szklanek dobrego mleka lub lekkiej śmietanki zaciągnąć dziesięcioma żółtkami utartymi do białości z kilogramem cukru i kawałkiem wanilii. Ostudzić zupełnie, dodać czarnej kawy, natychmiast wlać do formy i zamrażać, jak zwykłe lody. Gdy już masa ma konsystencję kaszki dodać pianę ubitą z pięciu białek, wymieszać dokładnie, wyjąć łopatką, zrównać łyżką, zakryć pokrywą i trzymać parę godzin w lodzie z solą. Oddzielnie ubić pół litra kremowej śmietanki na pianę, zmieszać z kilkoma łyżkami pudru utłuczonego z wanilią. Do szklaneczek szampanek nakładać do połowy masy kawowej, dolożyć do pełna kremem waniliowym i podawać.

CIASTKA Z MALINAMI

Zagnieść kruche ciasto, biorąc na kilo maki pół kilo tłustego masła, lub świeżego szmalcu i pół

kilo cukru, dwa całe jajka i tyle wody, aby ciasto się dało dobrze wałkować. Ciastem tem wyłożyć foremki od babeczek śmietankowych, dobrze wciskając między ząbki, upiec w średnio gorącym piecu na rumiano. Gdy ciastka ostygną nałożyć je do pełna malinami, posypać obficie cukrem. Ubić szklankę kremowej śmietanki, dodać dwie łyżki cukru, utłuczonego z wanilią, kłaść po łyżce tego kremu na każde ciastko i podawać, nie czekając, aż krem odwodnieje.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Aby zmusić kurę do wysiadywania jaj, trzeba wybrać starą, dobrze utrzymaną kurę, wytrzeć jej porządnie przed nasadzeniem skóry między pierzem na brzuchu pokrzywą, do gniazda włożyć kamyczki w formie jajek ubielone wapnem. Kura, czując nieznośne swędzenie z rozkoszą ogarnie kamyczki, które jej ulgę przyniosą i po paru dniach przyzwyczai się do siedzenia.

* * *

Aby wymyć i dodać blasku srebrnym łańcuszkom, medalikom etc., wziąć butelkę z szeroką szyjką najmniej pół litra objętości, wlać w nią wody 3 części, cieniutko nastrugać mydła, wrzucić go do wody w butelce, włożyć przeznaczone do mycia przedmioty i pomyć mocno i wstrząsać butelką, aż zrobi się w niej gęsta piana. Wtedy wyrzucić zawarte w niej przedmioty, kilka razy wypłókać w czystej wodzie, wysuszyć w otrębach, po wytarciu będą, jak nowe.

Chcąc osuszyć w otrębach, trzeba mokre przedmioty utarzać w nich i zostawić w spokoju, aż wyschną, wtedy odmuchać je delikatnie i wytrzeć skórą zamszową, lub flanelowym kawałkiem. Tak osusza się srebro, złoto i brylanty, które nabierają wspaniałego blasku.

Korespondencje działu praktycznego

Pani K. L. Kielce.

Jednosłoiowy aparat „Wecka” z termometrem dostanie Sz. Pani w firmie Krzysztof Brun. Warszawa, Bielańska 2. Cena 22 i pół złotych.

Pani S. Kielce.

W Warszawie dostanie Sz. Pani drutów celulooidowych Nr 4. Odpowiadać będą Nr 14 stalowych, wyczerpanych obecnie.

Pani H. S. Wodzisław—Śląsk.

Odpowiedź na zapytania Sz. Pani wysłaliśmy 12. V. Nieprzewidziane wypadki musiały gdzieś w drodze pocztę zatrzymać. Powtarzam na łamach „Bluszcza” udzielone już raz wiadomości. Na jedwabiacz wszelkich maluje się farbami prof. Buszka, które nabyć można u niego, lub w sklepie przemysłu ludowego — Warszawa, Tamka Nr. 1. Lalki dostanie Pani w sklepie Koła Pelek—Marszałkowska 84 i w firmie „Henriette”—Mazowiecka 6. Do robót przybory dostanie Sz. Pani w firmie Rozmanith — Ossolińskich 8. Odpowiedzi Dr. Świtalskiej na łamach „Bluszcza” są bezpłatne. Najlepiej adresować wprost do redakcji: Krakowskie Przedmieście 99.

Kilimów dostanie Pani u Krakowskiej, Ujazdowskie 30.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Ona.

Odsyłam do artykułu o cerze tłustej w „Bluszczu”. Na skórę tłustą używać „Mój Krem” i „Mój puder” wraz ze sposobem użycia Dr. Świtalskiej, Krucza 31, uskutecznia się wysyłanie za zaliczką, „Mój krem” 6 zł. „Mój puder” 3 zł. 50 gr. porto 1.

Na pocenie rąk doskonały jest „Galmanin” Karpińskiego Elektoralna 35.

Stosowanie maszynki do sprostowania nosa nie da efektu. Noga może być poprawiona przez zabieg chirurgiczny i odpowiedni masaż. O ukazaniu się w handlu książki „Piękność i zdrowie” będzie zawiadomienie w „Bluszczu”.

T. B.

Ziółka odtłuszczające składają się z 7 składników roślin amerykańskich. Z powodu zmiany waluty dolarowej nie mogą być w tej chwili w handel wprowadzone, a tylko wysyłam prywatnie pacjentkom, które leczenie już rozpoczęły.

Puck A. R.

Proszę o bliższe szczegóły: czy skóra tłusta, czy była leczona innymi środkami i z jakim skutkiem.

Listowna natychmiastowa odpowiedź z receptą traktuje się jako wizyta - honorarium 15 zł.

Na łamach „Bluszczu” odpowiedź bezpłatna, ale z powodu nawalu materiału ulega spóźnieniu do 2 miesięcy.

J. K.

Ziółka „Moje Żararaki” są wyrabiane w tabletkach. Należy je używać od 2 do 3 miesięcy, codzień [po jednej tabletki. Wysyłam je pacjentkom, które już leczenie rozpoczęły wraz ze sposobem użycia.

M. Ż. 954.

Na plamy żółte na twarzy i piegi należy stosować maść „Piegotin” na noc, na dzień zaś „Mój Krem”. Oba te środki mogą być wysłane za zaliczką pocztową. Zamówić można Krucza 31 m. 3. Po 6 zł. słoiczek. Porto 1 zł.

Piegotin nie może być użyty bez kremu, albowiem może zdrażnić skórę. „Mój Krem” natomiast ma działanie łagodzące.

Polka.

Należałoby zbadać przyczynę przedewszystkiem by skutecznie poradzić. Proszę spróbować smarować miejsca swędzące na noc następującym środkiem:

Zinci oxyd. 40, + ol. oliwi 60,0

Ds. na noc smarowanie.

Aneks. oiesol 50,0

Ds. puder.

Ol. oliwi. 100,0

Opto

Ds. do zmywania.

Rano zmyć oliwą i zapudrować mączką ryżową. Wcale nie stosować wody do mycia.

Po 2-tych tygodniach proszę napisać o rezultatach.

Matka blondynki.

Podaję sposób na wzmacnianie włosów, do mycia. Łyzeczka salsmiaku, łyżeczka boraksu, 100 gr. spiryt. mydłanego, 2 żółtka, 1/2 litra wody letniej.

Myć co 10 dni, a spłókiwać dodając na miednicę wody napar rumianku i 2 łyżki wody utlenionej. Wody utlenionej nie więcej, gdyż psuje włosy, dodana w większej ilości.

Prenumeratorka ze Śląska.

Pocenie się rąk i nóg usunąć można następującym sposobem. Moczyć, biorąc na litr wody 1 łyżkę formaliny lub 1 łyżeczkę olejku gorczycowego. Pozatem czyste kąpiele z solą aromatyczną Karpińskiego. Codzień lub co drugi dzień pudrować Galmaninem Karpińskiego.

Na upływ koniecznie jest zbadać przez ginekologa. W Warszawie dużo jest bardzo dobrych lekarek kobiet, polecam Dr. Garlicką ul. Żorawia 16.

Narazie stosować należy irygacje 2 razy dziennie:

Rp. Zinci sulf.

Alum condi

Ac. borici on. 50,0

Ds. łyżeczka do irygat.

Dr. J. Świtalska.

Opis sukien i robót do № 28.

624. Suknia z surowego jedwabiu w dwóch cieniach przybrana pliskami w kratkę.

625. Suknia popielinowa koloru rezedowego, przybrana haftem.

626. Suknia z crêpe de chine'u koralowego, peleryna z czarnej tafty.

627. Suknia z zefiru w kratkę, falbana przymarszczona.

628. Suknia i palto z kasha piaskowego, przybrane haftem.

629. Sportowa sukienka z surowego jedwabiu.

630. Suknia z bołorem ozdobiona bogato haftem.

631. Suknia i palto z lilą popieliny.

632. Palto z kasha przerebiarego w deseń.

633. Kostjum granatowy, boki układane w fałdy.

634. Palto z kasha koloru brązowego.

635. Kostjum z wełny w drobną kratkę koloru bois de rose.

636. Spódnica w kratę i żakiet w jednym kolorze.

637. Bluzka jedwabna koloru parme.

638. Bluzka z crêpe de chine'u przybrana haftem.

639. Bluzka z surowego jedwabiu, przybrana guziczkami

640-641-642, 643, 644. Modne fasony spódnic.

645. Wzór na poduszkę, haft richelieu, [wielkość naturalna 38x40 cm.

646. Wzór na przód bluzki, haft i [merezki, wielkość naturalna.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku MÓD, dostarczamy po cenach następujących: palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00
formy dzieciinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mÓD i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prumererek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.